WĘDRÓWKA PO BESSARABSKIM OKRĘGU.

II.

Kamieniec Podolsk, maja 1867 r.

Jesteśmy tedy na Dniestrze. Licha krypa odbija od brzegu, żydek dzierżawca przewozu sterczy na podolskiéj stronie, jak tyka słonecznikowa, pozwalając wiatrom bujać ze szlafrokiem, unoszącym się fantastycznie w powietrzu; przewoźnicy kierujący promem nawołują się wzajemnie. Stary Tyras (Ottomańska Turła), spokojnie spoczywa w legowisku ściśnięty podniesionemi brzegami, nie warczy, nie burzy się, nie szamocze — jakby chciał odetchnąć po wiosennéj powodzi; na rzeczce widok urozmaicony—w górze najeżone skałami ujście poczciwego Smotrycza, środkiem sunie galar naładowany zbożem, flisacy wesoło śpiewają, a na pieśń ich odpowiedź z innéj pieśni ułożona idzie od brzegu, kędy ładują pszenicę i klepki. Cicho tu, pogodnie, a jednak aż pomyśleć strasznо wiele poświęcenia, ofiary, bohaterstwa wędrowało z naszego brzegu na multańskie stepy, wiele znowu zbrodni i mordu z tego ostatniego na podolskie sunęło niwy.



Dziewczyna z okręgu Bessarabskiego w stroju świątecznym.

Pierwszą osobą witającą nas w Bessarabji jest znowu izraelita—zawsze izraelita, spotkamy go na każdym kroku, umiał bo się wpleść w społeczność tutejszą jako nieubłagana konieczność, ale o tem późniéj—teraz jedźmy.

Po wązkiéj drożynie podnosimy się ku górze, obok lichéj wioszczyny z bardzo niedawną przeszłością — otoż jesteśmy na stepie; jakby przedwstęp do niego stanowi wał z dwoma po brzegach nasypami, przerzyna on poprzek drogę, z jednéj strony ku Tyrasowi przytyka, z drugiéj zaś do Prutu sięga, niknie potem i znowu aż w południowéj części okręgu Bessarabskiego widział go pan Kraszewski i Nadeżdin. I dziwna rzecz—kmieć tutejszy nie ma tradycji, a spytajcie go co to za wał? Trojana—odpowie wam. Czy okopy te sypał cesarz rzymski, broniąc się od Bessów pierwiastkowych posiadaczy téj ziemi, czy Bessowie bojąc się potęgi rzymskiéj—nie chodzi nam o to—rozwiązanie téj kwestji jest rodzajem łamigłówki, nad którą suszyli nie raz sobie mózg uczeni; powiem jeno że podobnéj roboty tylko olbrzymy dokonać mogli: osiemnaście wieków egzystować i jeszcze po sobie zostawić imponujące szczątki—to godne uwagi i poczczenia, więc przed ową pamiątką cywilizacji zamierzchłéj, zapadłéj w tylu stuleciach, uchylam czoło i daléj wędruję.

A jednak powstrzymać się nie mogę, bym tutaj nie skreślił historji prowincji, po któréj odbywam pielgrzymkę, nie bójcie się miłe czytelniczki, nie znudzę was długą erudycją, krzyżową sztuką w kilku słowach, rzecz całą zamknąć potrafię... Bessarabja zawdzięcza nazwisko jednemu z panujących, a prędzéj ogólnéj nazwie wodza Bessów niegdyś tu osiadłych; prowincja ta rzucona na skraju dawnego rzymskiego państwa, kolonja wygnań-

ców nad Tybrzańskich, Botany-Bey pierwszych wieków po Chrystusie, była wiecznym przytuliskiem dzikich ludów od Uralu wędrujących na zachód, doraźnym popasem hord barbarzyńskich wiedzionych przeczuciem innego życia, innego bytu, ku środkowi ówczesnéj cywilizacji, ku Rzymowi. To też w ciągu kilkunastu wieków powiewają tu rozmaite sztandary, brzęk broni rozlega się nieustannie, rosną mogiły—szlakowe znaki dziczy, kraj się zaludnić nie może na téj stepowéj stacji, bo się ostać nie jest w stanie nawale wiecznie groźnéj a podnoszącéj się ze środka Azji, gdzieś z za Wołgi szerokiéj. I istotnie—przebieżmy historję tego strzępka ziemi między ujściem Dniestru a Dunaju wklinowanego—aż smutno pomyśleć wiele tu obozów nieprzyjacielskich czuwało oddychając żądzą, pożogi i mordu; pierwsze wieki po Chrystusie Rzym tu gospodarzy, orły Cezarów powiewają nad zielonym stepem, za którym Owidiusz tęskni, wzdycha i śpiewa, aliści jeszcze Rzym niepołożył się do grobu ze swoją wielkością, a już Awarowie (478 r.) na ich miejscu się rozgoszczają. Awarów wypychają Bulgary od Uralu przybyli; po nich zjawiają się tu około VI wieku Słowianie i panują przez lat 300, w tym czasu okresie prowincja przybiera nazwę Bessarabji, w IX wieku napływają Uhry, w X Piczyngi, w XI Uzy, w XIII znowu Słowianie wspólnie z Dakami pomieszani pod wodzą Czarnaho Raddo, zajmują Wołoszczyznę i wcielają do niéj Bessarabję, jednocześnie Bohdan nad Mołdą—Mołdawię zakłada, w XIV stuleciu Bessarabja wchodzi w skład Multan. W téj to epoce, na jéj rozległych równinach kolonizują się Genueńczycy, osady ich przeistaczają się w warownie, powstaje Chotim, Olchionia (Soroki), Tyhin (Bender) i Monkastro (Białgoród). W r. 1492 Multany padają pod ciosem nowéj potęgi rozwielmożnionéj w dawnem Bizancium, Bajazet sułtan czyni hołdownikiem hospodara, hołdującego już przedtem rzeczypospolitéj, Bessarabja przekształca się w Budżah (paszałyhat użyjski) kędy Nohajec dziki prawa dyktuje. Data wyżéj wspomniona, tak okropna dla Multan, Baltazarowemi zgłoskami i w tutéjszych wypisana dziejach, odtąd bowiem przez trzy prawie wieki, płacono nieustannie daninę z krwi Ruskiéj dumnemu Ottomanowi i spodlonym jego służalcom, Tatarom; w haremach Carogrodzkich płaczą nasze podolskie dziewice; w szeregach janczarskich poturczeńcy słowiańscy, jako drobne dziatki wzięte przed tem do jasyru; za Perekopem, na Budżaku pobrzękuje kajdanami niewolnik z południowéj Rusi z tęsknotą poglądając ku północy; w Algierze, Egipcie, smirnie żywy towar z branek i brańców Ruskich najpokupniejszym jest, choć nim przepełnione bazary, a skoro go zabrakło, tego mięsa gianrów, przyobleczonego we wdzięczne kształty i pokaźne liczko, wówczas nowy zagon jednym z trzech szlaków wpada nad Dniestr i haracz wybiera bez trudu.

A właśnie po jednym z nich leżała moja droga... nazywano go wołoskim, albo pokuckim, bo szedł z Multan przez Pokucie i Buczacz ku Lwowu; zwykle małe odpryski tego zagonu tędy wędrującego a na kilka mil szerokiego, wpadały przez Dniestr na Podole i Ukrainę ówczesną, dostawały się do Raszkowa słynnego z pięknych kobiet, to też z téj mieściny, w Jampolskim powiecie dziś położonéj, największy haracz z białogłów zbierał Tatarzyn; wyżéj przez Ujście, sunęły zastępy dziczy pod Kamieniec u Hańskiéj zatrzymując się studni...

Ale to dawne—dawne czasy—wróćmy do teraźniejszości: oto wioska zabiega nam drogę—rozlazła się po stepie równym i gładkim, na skrajach bieleje dworami posiadaczy (a kilku ich jest tutaj), pośrodku nędzna karczma, szumnie przez tu bylców ratuszem przezwana, a w koło niéj grupują się chatki bielutkie, w ogrody ubrane; i zaraz czujesz żeś nie w Podolskiéj guberni bo tu wioski nie zamyka kołowrot, a droga przez nią idąca ma z jakich kilkanaście sążni szerokości, chatki zgrabne, nawet słomą kryte, ale nie wiązaną w snopki, a rozpostartą niedbale; brak lasu czuć się także daje, wieś bowiem cała tchnie niemiłą wonią używanego tu na paliwo gnoju wysuszonego, a noszącego nazwę *kirpiczu;* płoty jeszcze podolskie, ogródki warzywne gdzie niegdzie wdzięczą się do przechodnia, bo też rusini w téj wiosce przeważnie osiedli. Już to Bessarabski okrąg da się podzielić na dwie części pod względem zaludnienia, północną-zachodnią albo ruską i południowo-wschodnią albo Mołdawańską, jak znowu i pod względem gospodarstwa się różni: górna lesista, przeludniona, tak zwana Bukowina Bessarabska, zasiewa anyż przeważnie, handluje suszonemi śliwkami, środkowa sieje pszenicę i kukuruzę, dolna kukuruzę i len.

Ale wróćmy do wioski; rusin spotkany nazwał ją Lińkawcami, mówił czysto, wcale nie gardłowym głosem, właściwym ludności mołdawiańskiéj, a w części i przesiedleńcom naszym zasuniętym w głąb prowincji; mieszkańcy wiosek przydniestrowych niczem się od podolskich nie różnią; ten sam ubior u kobiet podeszłych, u mężczyzn leciwych, za to dziewczyny trochę się z *waszecia* (ze szlachecka) stroją, może skutkiem tego, że w okolicy téj dużo jest osad z głębi guberni Podolskiéj tu przybyłych, więc nie widać tu *zapasek* (szmat wełnianych) obciągających niewolniczo kończyny dolne i czyniących kobietę podobną do jakiegoś bóstwa przedchrześciań-

skiego, niezgrabnie wyciosanego z piaskowca, kosa jak i u tamtéj, tak i u téj uboga, jasna, obiega wąską taśmą na około głowy, a często na końcu dosztukowuje się barwną tasiemką, za to żadnych już więcéj dodatków na głowie rusinki bessarabskiéj nie dopatrzysz, kiedy podolska dziewczyna miejska, kwiatów pełno we włosy powtyka, a wieśniaczka we wdzięczną *kiczkę* się stroi, do któréj wiąże bezdnę wstążek spływających powiewnie na plecy; im u nich barw więcéj, im więcéj rozmaitości w odcieniach, tem więcéj rozgłosu zdobywa, tem więcéj zachwytu obudza; w Bessarabskim okręgu inaczéj, tu oko młodzieńca nęci bogactwo ozdób szyi, korale, łańcuchy ze starych monet złożone *(dukacze)* obudzają podziw i uwielbienie.... młodzieniec na multańskiéj ziemi zrodzony, merkantylizmem kieruje się przy wyborze żony, o gesnerowskich idyllach nie ma wyobrażenia, naiwny jest w swoich materjalnych zachceniach do cynizmu, to też nie zna podań, żadna legenda, na tle romansowości osnuta, nie porasta na tym stepie bujną trawą zazielenionym, żadna dumka nie kołysze serca młodego, żyje ono bez wspomnienia, bez przeszłości, bez myśli o jutrze—byle bryndza (ser owczy) i mamałyga (ciasto z kukuruzy) o resztę nie dba już wcale. Może to zbliżenie z żydowstwem, gospodarującem tu bezkarnie i wyzyskującem pracę kmiecią na własną korzyść, wyrobiło w ludzie taką obojętność; zamknął się w sobie, wyrzekł się wszelkich zachceń, bo za lada drobnostkę płacić mu kazano wiele, mnie się jednak zdaje, że klątwa przeszłości ciąży na massach tutejszego gminu, ojcowie teraźniejszych osiedleńców tyle roztrwonili hulaszczości w życiu, tyle energji, przebiegłości, podstępu, że synom tylko głupowate lenistwo zostawili w spadku, choć trzeba coś zwalić na warunki podniebia, hygieny i dietetyki; słońce tutejsze dogrzewa we dnie, wiatry od południo-zachodu smalą rośliny, czernią płeć, a noce za to choć ciemne i ciche ale zimne, osadnik tutejszy nigdy w drogę bez *kożucha* nie wyruszy; *mamałyga* nasyca, daje się ciału w tłuszcz rozrastać, ale odbiera siłę, bo też lud tutejszy, jak koń tutejszy pokaźny ale nie do pracy, bo ta go męczy prędko i zniechęca, robi tyle, wiele potrzeba by nie umrzeć z głodu, zapobiegliwością, zamiłowaniem trudu wcale się nie odznacza, nie śpiewa pieśni na ławie, kosa czy sierp w jego ręku leniwo, powolnie, nawet w obec *watahi* (doglądacza robót) tnie zboże; ponury, milczący, i po pijanemu rozruszać się nie potrafi, za to też moralny, trwożliwy, w złodziejstwie i rozbojach się nie kocha, i jedno i drugie dość częste wprawdzie w Bessarabskim okręgu, ale uskuteczniają je albo Wołosi z za Prutu przybyli, albo miejscowi cygani, albo włóczęgi z podolskiego brzegu plądrujący po stepie.

Podróż bez przygód jest jak uczta bez wina... żałuję że wina nie pijam, żałuję że w wędrówce mojéj skłamać nawet przygody nie umiem. Najprozaiczniéj w świecie zajechałem do ratusza Lińkowieckiego na popas, powitała mnie w progu najprozaiczniejsza Sura w różowy szlafrok ubrana i tuląca do boku aż dwoje brudnych bachorów; w bramie wjazdowéj stał z przeciwnéj strony jakiś niewielki człowieczek, z twarzą ogorzałą, obrosły, szpakowaty, w ubiorze podszarzałym, z torbą przez plecy, z kijem wysokim w ręku; układ skromny, spojrzenie łagodne, wyraz poczciwy, chciałem więc z nim rozpocząć gawędę, ale uprzedził mnie zwykłym, słowiańskim:

— Niechaj będzie pochwalony...

— A zkądże to Bóg prowadzi?

— Pielgrzym jestem, z Jerozolimy wracam...

W czasach powszechnéj niewiary, spotkanie takiego człowieka, to istna przygoda, nieprawdaż czytelniczki moje? I poznaliśmy się bliżéj z tym dziwnie i pięknie pobożnym człowiekiem; historja jego żywota krótka, ubogi oficjalista z pod Tur... sierota od dzieciństwa, przechodził z miejsca na miejsce, dźwigając ciężar obowiązku nie arcy miłego, pan patrzył z pogardą na sługę milczącego, nieumiejącego się przypochlebić i nałamać karku, komisarz spoglądał z góry na ekonoma czy pisarza, skromnie tulącego się u drzwi jego kancelarji, biedakowi w téj ciężkiéj wędrówce po manowcach, została religja; bez jéj światła, bez jéj ożywczego ciepła, zaczął by pić, albo kraść, wszak pomimo całą jego sumienność pan go o kradzież nie raz posądzał... pod wpływem téj wiary czystéj i niepokalanéj ostał się pokusom do złego, zdobył się na tyle, że się wyrzekł nienawistnego obowiązku i powędrował pieszo, chcąc wstąpić do stanu duchownego. Nieprzyjęto biedaka, bo za mało miał wykształcenia, więc kij pielgrzymi i w drogę. Tak zapragnął odwiedzieć miejsca męki Boga-człowieka, że już się oprzeć pragnieniu nie zdołał, i poszedł, i oto teraz rozpromieniony, wesoły powracał już, a niósł ze sobą dla niewiast pobożnych i dla dziatwy różne podarunki drobne, dla osób czczących pamiątki, ziemię z Golgoty, z góry Oliwnéj, z Nazaretu, Betlejem, grób kamienny Matki Bożéj w legendę piękną ubrany, różę Jerychonu skuteczną w chorobach... niósł, rozdawał ludziom dobréj wiary, pokój i opowieść świętą wno-

sząc pod ich strzechę; prawda, pogoda, gorące przeświadczenie, niezepsute żadnemi rozumowaniami, biło z jego gawędy powolnéj, prostéj a przyjemnéj... Szedł przez Multany, i już był niedaleko kresu.

— A gdzież potem? pytałem wędrowca.

— A znowu w drogę z powrotem.

W téj jednak karczmie odbywała się przed kilkunasty laty inna, pocieszna dość scena; powtórzenie jéj może na skandalik zakrawa, ależ i w najmoralniejszych towarzystwach o skandalach mówią dość często, więc ją tutaj opiszę.

Posiadacz części wioski sąsiedniéj p. X. chciał się ożenić z młodą panienką z okolicy, ale na nieszczęście rodzice panny byli przeciwni związkowi, kawaler więc energiczny, a nie odznaczający się sprytem, zawezwał dwóch kolegów, sąsiadów do narady; postanowiono pannę wykraść, a gdy ta się zgodziła, przystąpiono do rzeczy. Pan X. czekał w karczmie na prętce przystrojonéj, pan A. podjął się wykradzenia panienki, pan B. drugi kolega nowożeńca, miał przepędzić noc u jednego z posiadaczy Lińkowicz i przyobiecał, że jako drużba na wezwanie gotów będzie. Zrobiło się jednak *qui pro quo* w domu bohdanki; wieczorem nadjechali goście niespodziewanie, pokój jéj sypialny przeznaczony został dla jednéj z córek przybyłéj rodziny, naturalnie że pan A. nic o tem nie wiedział, wykradł więc wprawdzie młodą panienkę, ale zupełnie nieznajomą sobie osobę; nie bacząc na jéj protestacje w podróży (bo zawsze był w błędzie) wpada z nią do karczmy, na spotkanie panny młodéj wybiega p. X. i z rozpaczą postrzega pomyłkę, dziewczyna załamuje ręce, młodzieniec złorzeczy, ale p. A. ani na chwilę nie stracił przytomności.

— Czy zna pani p. B. mojego kolegę, tego przystojnego i wykształconego blondyna?

— Znam, odpowiada szlochając dziewczyna.

— Czy się on pani podobał?

Mruczenie nie wyraźne przerywane łkaniem.

— Zapewne nie przypuszczałaś że on pani sprzyja, że nieustannie o tobie marzy, domyślisz się więc, że zniewolony jego rozpaczą odważyłem się na ten krok, bom się przekonał, że tylko tą drogą może stanąć z tobą do wspólnego życia; powiedz pani, zgadzasz się uszczęśliwić człowieka, albo mu zatruć całe życie? powiedz, tak, wszystko jest przygotowane, kapłan czeka... P. X. patrzy w osłupieniu na tę scenę, jest równie przyjacielem p. B. nigdy jednak od niego nie słyszał wzmianki o panience.

— Powiedz pani czy się zgadzasz, nastaje ciągle p. A., powiedz mi do ucha. Nachyla się, chwila szeptania, p. A. wybiega, siada do powozu, wpada do p. B. śpiącego w najlepsze.

— Wstawaj, wstawaj śpiochu, woła nań, wszystko przygotowane, zaraz ślub weźmiesz.

— Czyś oszalał, mówi p. B., przecierając oczy.

— Jestem najprzytomniejszy, rzecz tak się ma, i tu następuje opowiadanie, które zamyka taką sentencją: panna bogata, rodzice się przeprosić dadzą, będziesz miał żonę młodą, przystojną, majętną, i będziesz ją miał bez kosztów wesela, na które cię nie stać, bez zawodu, bo dostaniesz połowicę taką, jaka jest, nie ubraną w fałszywą sukienkę, w ową sukienkę na *pokaz*, dla przywabienia nowożeńca sprawioną, a przyozdobioną illuzjami, w rozmarzonéj głowie kochanka wyrobionemi na prędce.

— A wiesz kochany A. że jest nad czem pomyśleć...

— Myśl sobie, ale na zastanowienie się nad rzeczą tą i na ubranie, pięć minut czasu ci daję.

Po upływie tego terminu obaj przybysze jechali do karczmy, w pół godziny potem panienka została panią B., u ołtarza sąsiedniéj cerkiewki poprzysięgła miłość, wierność i posłuszeństwo człowiekowi, którego znała z widzenia.

I cóż wy na to miłe czytelniczki? Życie ich było nieszczęśliwe, powie jedna, rozstali się z sobą, doda druga, zobojętnieli dla siebie, dorzuci trzecia... jako żywo nie, dotąd kochają się najserdeczniéj, pobłogosławieni przez rodziców, a pan B. dowodzi, że to jest najlepszy sposób zawierania ślubu... Macie więc stwierdzenie nowe przysłowia dobrze znanego,—że *śmierć i żona od Boga przeznaczona*— a nadto i próbkę obyczajów multańskich wam dałem.

Ale już popas skończony—jadę daléj—do widzenia, do następującego listu.

J. R.

OKRES LODOWY ZIEMI.

WYKŁAD POPULARNY CZŁONKA INSTYTUTU P. BABINET.

Mam mówić o okresie lodów dla tego tak nazwanym, że wtedy część ziemi którą zamieszkujemy lodami pokrytą była; podjąłem się więc traktować w przeciągu godziny, przedmiot który obejmuje teraźniejszość, przeszłość i przyszłość. Bezwątpienia jest teraz moda konferencji, jednak winienem wam objaśnić, że konferencje czyli publiczne opowiadania nie od dzisiaj biorą początek; owszem znajdujemy o nich wspomnienie w najodleglejszéj starożytności. Rzymianie w czasie największego u siebie rozwoju cywilizacji, mieli tego rodzaju nauczycieli. Wirgiliusz i wielu innych poetów przemawiali w publicznych konferencjach. Te które miewał Stacjusz były bardzo uczęszczane. Późniéj, gdy cesarstwo rzymskie rozszerzyło się od Wschodu do Zachodu, to jest od krańców Persji do granic Galji, wielka ilość rzymskich retorów i greckich sofistów przebiegała kraje położone koło Bosforu aż po Lyon, Bordeaux a nawet Cadix, przemawiając publicznie w większych miastach.

Persowie są, jak wiadomo, zwolennicy powieści; każdy wielki pan w podróży ma przy sobie bajarza, którego przyzywa gdy się nudzi: „Opowiedz mi jaką bajkę, lub mów mi o literaturze." Czyniąc zadość woli pana rozpoczyna bajarz opowieść swą obliczając jéj długość według drogi i mówi, jeżeli tak wyrazić się można, na kilometry. Ja też mam dziś mieć konferencję na 5 lub 6 kilometrów; wprawdzie inaczéjby się to rachowało gdybyśmy liczyli na koléj żelazną.

Czy ziemia stworzoną była od razu taka jak ją widzimy? czy zgrzybiałość licząca się na dnie pokazywała się obok młodości rozkwitłéj przed godziną? Takie były poetyczne hipotezy Bernardin de St. Pierre, lecz dziś jest rzeczą dowiedzioną, że ziemia nie utworzyła się od razu. Laplace w swoich studjach matematycznych, usiłował dojść jak daleko sięga początek ziemi. Pokazuje on nam słońce i gwiazdy gęstniejące i grupujące się w łonie materji kosmicznéj, podczas kiedy jednocześnie tworzyła się ta piękna smuga, którą nazywamy mleczną drogą. Obliczono, że ona obejmuje cztery tysiące miljardów gwiazd, widocznych każda z osobna, a jeszcze massa biaława, która się dostrzedz daje za temi gwiazdami, zawiera podobnychże gwiazd nieskończoną mnogość. Wszystkie zaś te gwiazdy ze swemi planetami, mogą być zamieszkałe przez istoty obdarzone, lub nie, rozumem. Podziwiajmy zatem niesłychaną mnogość życia rozlaną we wszech świecie, albowiem droga mleczna nie jest jedyną massą gwiazd na firmamencie, Herschel zanotował takich cztery tysiące.

Wróćmy do naszego systematu planetarnego. Po zgęszczeniu się materji kosmicznej, które dało początek naszemu słońcu, ono się oziębiło i atmosfera jego uległa także stopniowemu zgęszczeniu. Kombinując te zgęszczenia z ruchem obrotowym słońca koło jego osi, Laplace wskazuje nam tworzenie się planet, które się obracają koło naszego słońca i satolitów około tychże planet się obracających. Planety te wraz ze swemi satelitami są jedyne ciała obracające się koło naszego słońca; są wprawdzie jeszcze komety, które od czasu do czasu przesuną się wśród tego systematu. Lecz nie lękajmy się, komety są ciałami tak mglistemi, tak lekkiemi, że nie są w stanie nam szkodzić. Powiedziałem już w któremciś z pism moich, że kometa jest to *nic widzialne*. Przestrach jaki zwykle budzą komety przypomina mi ciekawą anegdotkę o jednym armeńskim kalendarzu, wskazującym na pewno dzień *końca świata*, a mimo to ciągnącym podawane przez się wiadomości aż do ostatniego dnia roku.

W ogólności skłonni jesteśmy do kłopotania się trwożliwie o przyszłość ziemi. Niektórzy czerpią we wszystkiem powód do obawy. Znacie bezwątpienia wszyscy gwiazdy niestałe? ich blask zmniejsza się stopniowo i znów z podwojoną jaśnieje siłą. Otoż zapytywano się już nieraz, czy nasze słońce nie jest jedną z tych gwiazd niestałych? Coby się zrobiło z nami gdyby zagasło? Wtedy nastąpiłby prawdziwy perjod lodowy.

Nie o takim to jednak perjodzie lodowym chcę dziś mówić; ten nastąpił gwałtownie. Znaleziono wśród lodów, w różnych punktach globu, zwierzęta z innéj epoki. Takto można widzieć w Petersburgu cały skielet dobrze zachowanego mamuta i możnaby się nawet kusić o zjedzenie befsteku z jego mięsa znaleziono bowiem niektórych zachowanych doskonale, okrytych skórą i muskułami. Zwierzęta te opowiadają nam historję epoki, która nas poprzedziła i nie dziwcie się temu, albowiem według teorji Laplace'a ziemia nasza w chwili oddzielenia się od słońca była w sta-

nie płynnym. Oziębiła się nareszcie zwolna, massa jéj żarząca pokryła się powłoką mniéj więcéj grubą, która pękała tu i owdzie twardniejąc; w taki sposób tworzyły się góry i doliny i śmiało powiedzieć możemy, że nasz glob łamał się kilka razy. Wyobraźmy sobie te straszliwe wstrząśnienia — płaszczyzny pokrywają się wodą, tu się tworzą nowe morza tam nowe lądy powstają. Miejsce gdzie się dzisiaj Londyn wznosi, było niegdyś zapełnione olbrzymiemi zwierzętami. Podniosło się morze i pogrzebało ich w mule swoim, złożywszy na ich trupach całe pokłady przeróżnych skorupiaków, na których dziś przemieszkują anglicy. Dwa takie przewroty zdarzyły się na płaszczyznie paryzkiéj. Spód gruntu jest pokładem muszli przez morze zostawionych, na którym po ustąpieniu wód rozmnożyła się piękna ludność czworonogów lądowych. Drugi przewrot sprowadził znów na te płaszczyzny morza, które zniszczyły wszystko dotąd tam istniejące. Przybył nowy pokład muszli morskich i dopiero po ustąpieniu wód widzimy tworzący się grunt dzisiejszy. Na gruncie gdzie stoi Wiedeń uważać można cztery następujące po sobie pokłady, austrjacy są zatem czwartemi tych okolic posiadaczami czyli raczéj lokatorami, gdyż jak widzimy, od czasu do czasu następuje wywłaszczanie z gruntu i życia.

Zwierzęta zatracone w okresie lodowym, nie zginęły skutkiem podniesienia lub zapadnięcia się ziemi; zabiło ich zimno gwałtowne, czego dowodem pozycja w jakiéj ich skielety znaleziono. Te katastrofy można wytłomaczyć równie łatwo jak poprzednie; bez użycia formuł algebraicznych możnaby je dać zrozumieć salonowéj damie, i ta nawet przy bardzo natężonéj uwadze, mogłaby dostać co najwięcéj małego bólu głowy.

Ziemia przeszła przez kilka okresów czyli perjodów: podczas okresu astronomicznego oddzieliła się od słońca; podczas okresu geologicznego oziębiła się, pokryła skorupą i na jéj powierzchni objawiło się życie. Nakoniec w okresie przed historycznym zjawia się człowiek, wprawdzie jeszcze w stanie małego udoskonalenia. Piękna rassa kaukazka przychodzi późniéj dopiero, podczas okresu historycznego, który mniéj więcéj na sześć tysięcy lat przed nami, oznaczyć można i który jest przejściem do naszych czasów.

Zastanówmy się teraz nad istotami, które już dziś nie istnieją. Wspominaliśmy już o wielkiéj ilości mamutów wynajdywanych w wieczystych lodach Syberji. Nie domyślają się zwykle bilardowi gracze, że bile które posuwają po zielonem suknie są dla nich wyrabiane z kłów mamuta żyjącego niegdyś nad brzegami rzeki Leny. Jest to cały przemysł osobny. Mamuty i nosorożce znajdowane nad brzegami Leny, żyły w miejscach gdzie dziś leżą ich kości, tak są bowiem doskonale zachowane, że niepodobna aby były tam przeniesione jakim bądź sposobem; schwyciły ich i zmroziły śniegi.

Muszę wam też opowiedzieć, że naturaliści niemieccy, zebrani na kongresie w Tubindze, sprawili sobie przyjemność jedzenia nie befsteku wprawdzie, ale zupy z żelatyny mamuta. Wnosić jednak się godzi, że ta łakotka przedpotopowa nie była zbyt wybornego smaku, ta żelatyna bowiem wydobyta z kości mamuta, straciła zapewne oddawna przymiot strawności.

Cała Europa pokryta była lodami; dziś jeszcze znajdujemy w niéj lodniki, które nam dają wyobrażenie co się dziać musiało w perjodzie lodowym. Lodniki zostawiają po drodze swojéj odłamy kamieni i resztki różne, gładzą skały w sposób sobie właściwy, odrazu zdradzający, że one się tam prześliznęły. Zwierzęta zagrzebane w lodach Europy zupełnie są podobne do dzisiejszych. W Irlandji znajdują gatunek jelenia, którego olbrzymie rogi rozchodzą się na trzy lub cztery metry od siebie. Te zwierzęta skonały stojąc, z podniesionym w górę nosem i z rogami pochylonemi ku grzbietowi, z czego wnosić można, że ich zimno schwyciło niespodzianie; spadł śnieg obfity i zwierzęta schroniły się na wzgórza, lecz śnieg padał ciągle i wkrótce z pod niego nos ich zaledwie wystawał. W taki sposób zginęły wśród lodów, mastodonty, słonie, osioł i koń.

Lody które zaległy Europę tworzyły się w stronie Brezylji, perjod lodowy nie jest więc rezultatem katastrofy miejscowéj, jest raczéj wynikiem ogólnego zjawiska, oziębienia, które się dało uczuć na całéj prawie kuli ziemskiéj. Jednakże ożywcze słońca promienie nie zgasły i zwierzęta żyjące w około równika ocalały po większéj części. Słoń przechował się nam jako wspaniały okaz zwierząt owych czasów.

Jakie były przyczyny tego ogólnego oziębienia? Nie rzadko w historji nauki znajdujemy wzmiankę o zaćmieniach słońca. Wirgiljusz mówi o takiem zaćmieniu po śmierci Cezara. Lecz Wirgiljusz jakkolwiek bogaty właściciel, nie był wcale naturalistą i możnaby łatwo przeczyć jego twierdzeniu. Jednakże słońce nie raz się zaćmiewało począwszy od czasów historycznych. Pewien uczony, p. Roche, zajmował się niedawno ułożeniem statystyki zaćmień i wylicza ich tysiąc do tysiąc dwieście, pomiędzy któremi były tak znaczne, że dozwalały widzieć gwiazdy wśród dnia. Można sobie tłomaczyć to zjawisko przypuszczając, że jakieś ciała czyli planety ogromne stają wtedy pomiędzy słońcem a nami.

Uważano już jak przejście obłoków kosmicznych zaciemniało słońce dla oczu naszych, tak że wśród białego dnia można było widzieć planetę Wenus. Przypuśćmy raptowne oziębienie słońca—wtedy najstraszniejsze przypadłyby zmiany; wśród najgorętszego lata poczęłyby się dnie zimowe, słońce bowiem ma wielki wpływ na temperaturę i Buffon obliczył, że gdyby słońce przez dni trzy ogrzewać przestało, wszystka woda utrzymująca się w atmosferze, spadłaby w postaci śniegu.

Od okresu lodowego upłynęło bardzo mało czasu uważając rzecz tę względnie, albowiem w historji ziemi naszéj dwa tysiące lat są chwilą. Badanie zjawisk natury, pozwala nam mniéj więcéj obliczyć czas, jaki oddziela jedną epokę od drugiéj. I tak: morze Czarne jest mniéj słone niż ocean Atlantycki, gdyż jest całkowicie między lądy wciśnione i tylko przez cieśninę Dardanelską łączy się z morzem Środziemnem, które znów jest słońsze od Atlantyku. Przytem do morza Czarnego wpada wielka ilość rzek znacznych, np: Dunaj, które przynosząc mu swoje wody słodkie zmniejszają naturalnie słoność jego. Dziś morze Czarne jest o połowę mniéj słone od innych mórz. Gdyby Argonauci płynąc na zdobycie złotego Runa, zebrawszy część téj wody w naczynie dali jéj wyparować i zważyli pozostały po niéj osad, wiedzielibyśmy teraz dokładnie ile morzu Czarnemu było potrzeba czasu, do stania się o połowę mniéj słonem od innych.

Myśl o zaćmieniu słońca przez zasłonięcie go od nas jakiem innem ciałem, nie jest nową. Napotykamy ją i w niedawnych czasach w dziełach Woltera. Otoż wyobraźmy sobie, gdyby np: jakie obłoki kosmiczne, których istnienie jest dowiedzione, zasłoniły nam słońce, coby się działo na naszéj ziemi. Wszystka woda zawarta w powietrzu atmosferycznem spadłaby w postaci śniegu. Znów zwierzęta a nawet i ludzie uciekaliby na wysokości, jak to czyniły niegdyś jelenie Irlandji, mamuty z nad Leny, i mastodonty z Ameryki północnéj.

Zostaje mi jeszcze jakaś miara konferencji. Coś około kilku kilometrów, poświęćmyż je badaniu przyszłości naszego globu. Nie obawiajmy się o jego trwałość, zdaje się bowiem dobrze umocniony. Wielkie wstrząśnienia nie nastąpią prawdopodobnie tak prędko, gdyż ostatnia katastrofa, która nasz dzisiejszy świat zrodziła, jest jeszcze bardzo niedawna. Powłoka ziemska jest gruba na kilka kilometrów sam środek wprawdzie jest jeszcze płynny, a dowodzą nam to pękania miejscowe na powierzchni, z których się dobywa dym i lawa, którą nie można brać za jedno z popiołem. Lawa jest to rodzaj ziemi alkalicznéj, z któréj przemysł wyrabia obecnie butelki. Co do bezpieczeństwa powierzchni ziemi, niektóre kraje są uprzywilejowane. Tam gdzie leży Francja, skorupa ziemi jest na sześćdziesiąt kilometrów przynajmniéj gruba, gdy przeciwnie w Kalabrji i Sycylji grunt jest nadzwyczaj poszarpany. Szczęściem że nie wszystkie trzęsienia ziemi są tak gwałtowne jak to, które zburzyło Lizbonę w r. 1755 pochłaniając 60,000 ludzi. Uderzającem jest, że już w r. 1531 miasto owo zniszczonem było w taki sam sposób, postradawszy 30,000 mieszkańców. Widząc Lizbończyków odbuduwujących swe miasto na tem samem miejscu, trudno nie przyznać że są ludzie uparci. Wartoby żeby uczeni zbadali w pisarzach arabskich, czy Lizbona nie ucierpiała od trzeciego, poprzedniego jeszcze trzęsienia. Po za temi cześciowemi wstrząśnieniami nie mamy się czego obawiać i spokój globu zdaje się być utrwalony na wiele wieków. Przyczyny które zmieniają wybrzeża. lądów, lub wodom morskim nadają inny kierunek, działają bardzo wolno. Wszystko w około nas wskazuje, że obecny stan rzeczy nie prędko się zmieni. Koryta rzek szybko się zamulają, niepodobna więc żeby istniały od bardzo dawna. Obliczając przez przypuszczenie, nauka zgadza się mniéj więcéj z Biblją. Biorąc za punkt wyrachowań Tyber, dochodzimy do cyfry 7 do 10,000 lat. Widzicie więc że to świeże, jak gdyby od wczoraj. Możemy tedy być zupełnie spokojni co do niedalekiéj przyszłości ziemi naszéj. Długi jeszcze szereg wieków upłynie, nim zastygnie płynny dziś jéj środek i dzisiejsza jéj powłoka stanie się za dużą, coby mogło sprowadzić nie małego znaczenia katastrofę.

Wśród długiego szeregu wieków przez jakie bezwątpienia potrwa stan dzisiejszy globu, czy pozostaną niezmiennie istoty dziś go zaludniające? Bynajmniéj, gdyż wszystko nam wskazuje, że się zmieniać będą przy każdéj katastrofie. Zmieniało się powietrze atmosferyczne, zmieniały się też rośliny i zwierzęta, które wśród niego żyły. Po tych które oddychać mogły powietrzem przesyconem kwasem węglowym i ammoniakiem, przyszły rośliny i zwierzęta zbliżone więcéj swem życiem do człowieka; sam człowiek ukazał się w stanie bardzo niewydoskonalonym.

Jerzy Ville robił doświadczenia na roślinie z rodzaju *Caladium*, otaczając ją warunkami życia, jakim niegdyś żyjące rośliny podlegać musiały. Dodawał jéj raz gazu kwasu węglowego, drugi raz ammoniaku. Krzew bardzo zasmakował w tych pożywnych pokarmach i tak się rozrosł, że jeden człowiek mógł zaledwo liść jego udźwignąć, był bowiem takiego dużego rozmiaru jak u roślin żyjących pod równikiem, a szypułka jego do-

chodziła grubości ręki człowieka wraz z rękawem. Trudno jednak wnosić, żeby wpływy zewnętrzne były tak silnie działające, żeby mogły zrobić krokodyla z jaszczurki. Umieśćmy mieszkańca Patagonji w najpożądańszym klimacie, a mimo to, nie będzie miał natury bardziéj wydoskonalonéj. Że jednak rośliny i zwierzęta jednego okresu rożnią się od roślin i zwierząt okresu drugiego, to widzimy. Powietrze ma dziś daleko mniéj kwasu węglowego niż poprzednie, może na przyszłość będzie miało daleko więcéj tlenu a zatem i istoty wtedy żyjące muszą się zmodyfikować czy zmienić.

Jakiś filozof powiedział, że tak samo jak człowiek nastąpił na ziemi po strasznych potworach, które ją niegdyś zaludniały, a z których dziś znajdujemy tylko kości, tak też musi przyjść i inna doskonalsza rassa ludzi i w stosunku do tych, człowiek dzisiejszy będzie tyle znaczył, co dzisiaj pies względem niego.

Na przyszłéj lekcji opowiem wam o mnogości światów, jeżeli nas jeszcze nie zaskoczy jaki nowy okres lodowy. Lecz przyznajmy raczéj, żeśmy w okresie konferencji czy prelekcji. Pełno prelegentów należących do półnaukowego świata koło nas się uwija, trzeba jednak wyznać, że społeczność z tego korzysta. Ogół oswaja się z wiadomościami naukowemi, summa pojęć bieżących powiększa się i najrozmaitsze obejmuje kwestje. Bacon powiedział: Przejdą całe pokolenia uczonych i nauka wzrośnie. Życie jest krótkie, a pamięć człowieka obejmuje bardzo krótki perjod, lecz mamy historję która jest pamięcią ludzkości.

BOHATERSTWO DNI NASZYCH.

(OBRAZEK ŻYCIA WARSZAWSKIEGO)

napisany przez Stanisława Gargulskiego.

(Dalszy ciąg).

— Jakiż to honor czyni mi jaśnie pan przybywając przed dom mój ubogi.

Żartuj sobie asan z takiego jakieś sam! zawołał stary Zefir z gniewem. Ze mnie asan nie wyciągaj wzorków!

I zawrócił się w przeciwną stronę wracając ku domowi. Oberżyście przez wpół otworzyły się oczy..... Czyli ten stary tak dumny, czy też historja ze stryjaszkiem jest kłamstwem.

— Ale przepraszam jaś..... przepraszam pana, poprawił się oberżysta idąc za starym Zefirem. Ja nie mam myśli pana obrażać, ale to honory zmieniają obyczaje.....

— Jakie honory! zawołał stary Zefir przystając w drodze.

— A kopalnia w Ameryce?

— Jaka kopalnia?!

— Swięty Jacku! a stryjaszek?

— Jaki stryjaszek?

— Święty Gerwazy! Tu nie ma żartów! zawołał oberżysta drżąc na całem ciele. Cztery kosze wina wypili i pięćdziesiąt miljonów szkła natłukli; a cygar, a przekąsek, całe szynki i sery i stryjaszek szybę wybił przez tę kopalnię złota w Ameryce!

— Czyś asan zwarjował! zawołał stary Zefir wielkiemi oczyma patrząc się na oberżystę.

— Ja nie zwarjowałem, ale to syn pański powiedział mi, że odziedziczył 50 miljonów dukatów z Ameryki!

— To kłamstwo!

— Kłamstwo! kłamstwo! woła oberżysta skacząc jak opętany. I począł opowiadanie całéj historji, na którą starowina powtarza tylko:

— O horendum! o horendum!

I wrócił do domu wymyślając półgłosem na swego syna, a kłaniającym się matedorom na głos złorzeczył, co oni poczytywali za dumę jego.

Oberżysta powrócił do swego domu, i za najpiérwsze dopełnił przepowiedni Zefira, wyrzucając pijanych jego towarzyszy w kałużę miejską, gdzie oni też i noc przepędzili.

Zefir przybywszy do Warszawy, był przez swego opiekuna furmana izraelitę, odprowadzony do p. Nóżki na trzeciem piętrze przy ulicy Sto-Jańskiéj, w domu zamieszkałym przez naszych dobrych znajomych. Tam miał Zefir przeznaczony dla siebie pokoik, i p. Nóżka odpowiadając przyjętemu na siebie zobowiązaniu, postanowił umieścić Zefira na aplikacji w Trybunale.

Zefir przybywszy do Warszawy zaimprowizował ucztę dla rodziny p. Nóżki.

Kilka butelek wina i część zdobyczy z rodzinnego miasteczka, wystarczały aż nadto na małe grono osób biesiadujących.

Uczcie téj towarzyszył śpiew asesora o Meduzie i Filonie, który to śpiew dość wyraźnie słyszany był przez mieszkańców trzeciego piętra.

Zefir posłyszawszy od swoich krewnych o dziwaku asesorze i o bogatéj sąsiadce, wnosił, że znajomość z niemi, może mu być użyteczną. Działał zwykle pośpiesznie; nazajutrz rano poznał asesora, spotkawszy go wypadkowo na schodach; do południa przebiegł celniejsze ulice Warszawy, w południe spotkał na ulicy asesora w płaszczu otulonego, poznał go i przystąpił w celu zabrania z nim znajomości.

— Moje uszanowanie, panie asesorze! zawołał. Wszakże nie mylę się z kim mam honor rozmawiać.

— A to ja sam łaskawy panie! odparł asesor, gdyż to on był w rzeczy saméj. Z kimże mam przyjemność mówić?

— Z Zefirem, dobrym pana sąsiadem z trzeciego piętra. Mam honor przedstawić się: jestem dziedzic Niczegomja z przyległościami. Przybyłem do Warszawy dla nauki prawa i przetracenia kilkudziesięciu tysięcy niepotrzebnych mi na przyszłość.

— Bardzo mi przyjemnie poznać godnego sąsiada! I ja niegdyś w Hiszpanji dosyć roztrwoniłem grosza, ale dziś.....

— Dokąd pan asesor zmierza?

— Na obiad, szanowny panie. Dziś odebrało się pensyjkę z bióra, to trzeba pójść zapłacić za swoje utrzymanie; za śniadanie, objad i kolację, bo grosza nie kredytowaliby. Dawniéj w Kadyxie i w Maroko, to człowiek miał kredyt, ale dziś w Warszawie.....



Rodzina ruska w okręgu Bessarabskim.

— Panie asesorze! przerwał Zefir—na cześć zabranéj przez nas znajomości, racz pan przyjąć dobry obiadek w restauracji, gdzie ja zawsze jadam.

Spotkanie sąsiada przerwało asesorowi porządek jego zatrudnień na dzień ten przypadających. On miał obiad płatny miesięcznie, ale obiadek w restauracji, to nie był chleb powszedni dla niego..... Jakże tu odmówić zaproszeniu tak szczerego sąsiada?..... Poszło się zatem do restauracji.

Zefir przejrzawszy od rana Warszawę, wiedział już o niéj tyle, co mu potrzeba było wiedzieć do wesołego przepędzenia czasu. Teraz on jakby od dawna tu zamieszkały, za-

prowadził asesora do restauracji, przez francuza utrzymywanéj, i najswobodniéj dyktował obiad z karty. On tam był jak we własnym domu, wreszcie jak powiadał: on tam zawsze jadł obiad, gdyż nie przyznał się, jako dzień pierwszy bawi w Warszawie.

— Jak to jest wygodnie być panem, pomyślał asesor, spoglądając zazdrośnie na Zefira.

Przy obiedzie było wino. Asesor wprowadzony w dobry humor, opowiadał awentury z czasu pobytu swego w Hiszpanji. Zefir i on sam asesor śmieli się serdecznie z licznych, a dziwacznych przygód.

Bawiono się wybornie. Zefir w złotym był humorze.

Asesor skończył właśnie opowiadanie awanturki z czasów pobytu swego w Hiszpanji. Siedm siostr zakochało się w nim, a każda chciała, żeby wiernym był dla niéj. Gdy jednak na uczynione na raz jeden wezwanie, wahał się z odpowiedzią, wszystkie siedm dobyły sztyletów z za podwiązek, aby siedm dziur zrobić w jednem jego biednem sercu. On na wzór Cezara przemawiającego do Brutusa, powiedział do najbrzydszéj, a przez to najwdzięczniéjszéj za udawaną przez niego miłość: *Et tu Praxydo contra me?* osłonił się płaszczem, i siedm sztyletów wpadło..... do kieszeni tegoż samego płaszcza granatowego który do dziś dnia na sobie nosi. Zawzięte Hiszpanki myśląc, że serce jego na piękne podziurawiły i on sam już nie żyje, uciekły zostawiając utkwione sztyleta w jego..... kieszeni. On zaś przez długi czas miał czem obierać ogórki i rzepę, skrobać marchew, i z jednego jeszcze zatępionego sztyletu ma do dziś ostry cyganek.

— Wybornie! wybornie! panie asesorze, zawołał Zefir nalewając nowe kieliszki, gdzie się pan stołuje? zapytał.

— W domu prywatnym kochany sąsiedzie! Tam płacę miesięcznie za śniadanie, obiad i kolację. Tanio to mnie kosztuje, ale jak się zapłaci, to ledwie zostanie kilka rubli na inne wydatki.

— Stołuj się pan w téj tu restauracji!

— O! panie łaskawy, a czyż ja byłbym w stanie takie ponosić wydatki?

— Przychodź pan codzień o téj porze do tej tu restauracji, a zawsze pan mnie tu zastaniesz. Miło mi będzie zjeść obiadek w tak wesołem towarzystwie i z dobrym swoim sąsiadem.

— Nie chciałbym panu czynić wydatków na moją osobę.

— Wydatków..... Boże mój! Cóż u mnie znaczy kilkaset złotych mniéj lub więcéj wydanych. Ja tak sobie *incognito* zamieszkałem na trzeciem piętrze przy ulicy Sto-Jańskiéj. Zwłaszcza, mam w tem własny interes, bo mieszkając przy panu Nóżce, mogę wiele korzystać z wiadomości prawnych przez niego posiadanych.

— Jak pan dawno jest moim sąsiadem?

— Od wczoraj, kochany asesorze. Wczoraj przybyłem z dóbr moich, zabawię czas pewien w Warszawie i znów wyjadę, i znów powrócę. Rozmaitość bawi mnie. A propos!..... Powiedz mi pan: kto mieszka na drugiem piętrze obok niego.

— Ach! to radca, stary sknera: skąpiec, dusigrosz, chorowity, lada dzień to zamrze.....

— Ale nie pytam się o tego sąsiada! Chcę wiedzieć u kogo to wczoraj pan grał na gitarze?

— To znów co innego! To panienka ładna, posażna: to sto pierwsza moja narzeczona.

— Pan jeszcze nie oświadczył się?

— Wczoraj z pierwszą dopiero byłem tam wizytą.

— Wyborna myśl! panie asesorze dziś wieczorem idziemy tam oba. Pan przedstawisz mnie jako dawnego dobrego swego znajomego, dziedzica Niczegomja, zostającego w Warszawie czas pewien na nauce prawa,—ja zaś swatać będę pana.

— Zgoda! zawołał asesor. Nigdy dotąd nie miałem swata, i sto moich partji poszło z wiatrem, sto pierwsza przy swacie, powiedzie się niezawodnie.

— Szampana i rachunek! zawołał Zefir. Trzeba oblać myśl dobrą — strzeż się pan, rzekł następnie zniżonym głosem do asesora, po wystrzale butelki szampańskiego — strzeż się pan, dodał, brać papierków 25-cio rublowych, bo między niemi jest wiele fałszywych.

— Ja panie łaskawy nigdy mieć nie mogę naraz 25 rubli. Pensji biorę miesięcznie złotych 90.

— Mam tu ze sobą czterdzieści papierków 25-cio rublowych, przerwał Zefir. Pokażę panu poczem można poznać fałszywy papierek na pierwszy rzut oka.

To mówiąc sięga do bocznéj kieszeni surduta.

— A..... do stu pociech! zawołał w tejże chwili uderzając pięścią o stół. A to się popisałem!

— A co to? spytał asesor.

— Zapomniałem wziąść ze sobą pieniędzy!.... ale to fraszka! Pan asesor zapłaci tu rachunek. Mieszkamy w jednym domu; dziś wieczorem będziemy u naszéj sąsiadki, a następnie pan asesor wstąpi do mnie, to dam mu 25 rubli do zmienienia.

— Dobrze łaskawy panie! ale może wypadnie drogo ten obiad zapłacić, ja nie wielki mam grosz ze sobą, a to jest mój grosz ostatni.

— Nie lękaj się pan! Odemnie pan nie dostaniesz fałszywego papierka, ja znam się na

pieniądzach, bo niedawno opłaciłem frycowe tracąc 75 rubli w fałszywych papierkach.

Asesor pożyczając swoje pieniądze na tak pewną hipotekę, nie tracił humoru.

— Złp. 80 zawołał spoglądając na podany rachanek. Jak to drogo kosztuje być panem.

— To fraszka! rzekł niechętnie Zefir. Ja codzień więcéj wydaję.

Asesor zapłacił rachunek i rzekł sam do siebie.

— Zostało się jeszcze dziesięć złotych.....

— Pójdźmy na pącz, szanowny asesorze! zawołał swobodnie Zefir. I obaj po dobrym obiedzie, rozweseleni winem, opuścili restaurację. Zefir ujął pod ramię asesora, i wśród wesołéj gawędki prowadził go ulicą miasta, już potrącając przechodniów, już też od nich potrącany. Nie każdy z przechodniów tak wesoło dzień przepędzał, to też nie jeden spoglądał z uśmiechem na asesora, rozpowiadającego dość głośno swojemu towarzyszowi o Hiszpanji.

Asesor i Zefir spędzili resztę dnia w kawiarni, a wydawszy grosz ostatni, udali się wieczorem do pani Janowéj.

W przedstawieniu jako dziedzica dóbr i sąsiada trzeciego piętra, asesor wymienił dobra Zefira pod nazwą Niczegoniema zamiast Niczegomja.

Obaj goście byli uprzejmie przyjęci. Asesor utrzymywał, ża dziś przypominają mu się czasy hiszpańskie, gdyż przypadkiem wtrącone zostało do rozmawy wspomnienie dnia dziś spędzonego. Zefir rzucił zdanie od niechcenia, jako będąc w Warszawie, wydatkuje codziennie po paręset złotych i wiele jeszcze dodał bredni o swoim nieprzebranym majątku. Pani Janowa, a także córka jéj dostrzegły fałsz tych słów, i panna Katarzyna wyrzekła satyrycznie.

— Ach! to pan naśladuje u nas Tajemnice Paryża. Ale jeśli pan jesteś księciem tak popularnie rachującym ile jest schodów na trzecie piętro, to my znów nie liczemy się do klassy tak ostatniéj, aby gwiazda jego mogła wśród nas błyszczeć wyróżniającem światłem, jakiby cel jéj był wśród różnych warstw ludzkości.

Zefir spostrzegł, że wyróżnianiem się obrażał osoby, które chciał sobie zjednać. Odwrócił rozmowę na inny przedmiot, i z właściwą sobie zwinnością wspomniał o swoich kłopotach pieniężnych, jakich doznaje po straceniu posiadanego dochodu.

Asesor zamyślił się po raz pierwszy dzisiejszego wieczoru.

„Czyli przypadkiem, pomyślał, on dziś właśnie nie jest w owych kłopotach pieniężnych. A gdyby też dziś jeszcze nie oddał mi wydatkowanych pieniędzy na rachunek tego jednego z czterdziestu jego papierków 25-ciorublowych..... w tym razie jutro nie miałbym czem zapłacić należności miesięcznéj za stołowanie się. Od jutra więc nic by jeść nie wypadało przez miesiąc czasu!“

— O czem pan asesor myśli? przerwał mu Zefir, przechodząc do niego w żywéj rozmowie. Przejdź pan na drugą stronę do swego mieszkania i przynieś gitarę. Zrób pan to dla przyjemności pań, a zyskasz uśmiech na podziękowanie za śpiew swój.

— Chętnie to zrobię! zawołał asesor. Przeszedł na drugą stronę, i za chwilę wrócił z gitarą.

Zefir pragnął zabrać znajomość z asesorem i z bogatą sąsiadką, jedynie dla wesołego chwil spędzenia. Widzimy go dzień pierwszy bawiącego wesoło w Warszawie; on szukając uciech, nie zwykł tracić czasu. Ale teraz inna myśl go zajęła; wdzięki panny Katarzyny i posag jéj, wzbudziły w nim zdanie:

„Może by to dobrze było ożenić się.....”

I gdy nad tem Zefir rozmyślał, asesor tymczasem uderzył w struny i począł grać i śpiewać taniec hiszpański *Kaczucza*, tak powszechnie znany podówczas w Warszawie. Spiewając strofkę „Ach! ileż masz wdzięku, ileż uroku,” spojrzał tak czule na pannę Katarzynę, że ona sama, matka jéj i Zefir wybuchnęli śmiechem głuszącym śpiew asesora.

— To nie gitarą pan zdobywasz serca! zawołał Zefir po skończonym śpiewie asesora, ale spojrzeniami przy gitarze.

I dalej jeszcze prowadzono ożywioną rozmowę. Zefir rzucał zdania o swym majątku, ale te ścinane były zdaniami panny Katarzyny. Raz pierwszy widział tu przeszkodę do wyprowadzenia swych kłamstw, a obawiając się znaleść *fiasco* swego poczynającego się powodzenia na bruku warszawskim, zwracał ze zwykłą sobie zręcznością, rozmowę na inny przedmiot.

Pani Janowa przyjmowała gości herbatą i sucharkami, asesor grał jeszcze i śpiewał, a nawet panna Katarzyna grała na fortepjanie dla uprzyjemnienia chwil gościom; bawiono się wesoło.

Był to dzień sobotni. Zefir w sposób delikatny zaprojektował paniom użycie przejażdżki sankami w dniu następnym w godzinie popołudniowéj. Panna Katarzyna odpowiedziała obojętnie, że jutro chciałaby odwiedzić ciocię mieszkającą na Ś-to Krzyskiéj ulicy. Zefir każdą myśl umiał uprzedzić, zaraz też zmienił projekt. Jutro miała pani Janowa z córką, on i asesor pojechać do szanownéj cioci, a zabrawszy ją, wyjechać dwojgiem sanek w aleje i z powrotem. W dodatku, asesor miał wziąść ze sobą gitarę, aby zagrać u cioci, lub gdzie się zdarzy, bo może i parę osób gdzie będzie, to i wykręci się jaką polkę po gitarze. Pannie Katarzynie po-

dobała się ta propozycja, pani Janowa przystała na nią, a i asesor rad był być wszędzie, gdzie młodzież się bawi.

Wiemy już, że przyszłéj niedzieli pan Atanazy poznał córkę pani Janowéj, teraz przybyło w jéj dom dwóch nowych wielbicieli..... tak więc zaczęły się:

V.

Konkury o rękę panny Katarzyny.

Asesor i Zefir pożegnawszy panią Janowę i jéj córkę, opuścili ich mieszkanie.

Asesor zabrał pod płaszcz swoją gitarę, a po zamknięciu drzwi, zatrzymał na schodach Zefira i rzekł mu na ucho:

— Mój dobrodzieju! mnie tak gwałtownie potrzeba pieniędzy. Ja dziś ostatni grosz wydałem, to jutro od rana nie dostałbym śniadania, nie mając czem zapłacić miesięcznego.

— To fraszka! odparł Zefir. Jutro raniutko przyniosę panu 25 rubli.

— O! ja obawiam się. Pan możesz zapomnieć. Ja pójdę z panem do jego mieszkania.

— Zaczekaj pan tu chwilkę na schodach, zaraz przyniosę panu papierek 25-cio rublowy. Zobaczę tylko, czy który nie jest fałszywy, żeby pan z nim nie miał kłopotu.

— Chętnie! chętnie mój dobrodzieju. Zaczekam tu.

Zefir pomimo ciemności pobiegł dość prędko po schodach na trzecie piętro, asesor zaś został się na schodach oczekując jego powrotu.

Biedny starowina, lubo rzeźki, ale nie przywykły czuwać o tak późnéj porze, począł nużyć się długiem wyczekiwaniem Zefira.

Asesorowi pilno było dostać do rąk pieniądze, aby nazajutrz od rana miał zapewnione swoje śniadanie. Obawa o odebranie grosza poczynała go trapić, wolał zatem oczekiwać czas pewien na schodach, aby spokojnym być o siebie.

Jednakże długie wyczekiwanie nuży każdego, a tem więcéj w zimie, na schodach, w porze nocnéj, wśród ciemności. Chciał wejść do swego mieszkania i tam oczekiwać Zefira, ale pozostawanie na schodach uważał za pewniejsze do odebrania swego długu; wreszcie Zefir nie znalazłszy go teraz w miejscu umówionem, powróciłby z pieniędzmi do swego mieszkania. On wietrznik może jutro od rana wszystko roztrwoni! i cóż zostałoby dla asesora, i cóż on by począł miesiąc cały bez pieniędzy?

Asesor spojrzał po drzwiach swoich sąsiadów: u radzcy nie było światła, on zatem dawno już udał się na spoczynek, u pani Janowéj przez czas pewien widać było światło przez okienko po nad drzwiami umieszczone, lecz w końcu i tam znikło.

— Jakże długo szuka pieniędzy ten Zefir, pomyślał asesor. Zapewne on rozpoznaje, czyli który papierek nie jest fałszywy.

I począł żałować obietnicy wyczekiwania na schodach; właściwiéj byłoby dopełnić to w swojem mieszkaniu, ale stało się! wyczekiwanie miało być chwilowe, a teraz przedłuża się do nieskończoności. Chciał pójść na trzecie piętro do Zefira, lecz tam nie trafiłby do drzwi, a wreszcie i schody nieznane przedstawiały wiele trudności. Wypada być cierpliwym i wyczekiwać jeszcze: wszakże Zefir dotrzyma mu słowa, i lada chwila nadejdzie.

I znużony asesor usiadł na schodach, otulił się płaszczem, wsparł się o ścianę, a gitarę swoją wsparł o szczeble krawędzi schodów.

I tak biedny starowina niecierpliwie oczekując chwilkę i tylko jeszcze chwilkę, zdrzemnął się na dobre, a w końcu i zasnął na dobre.

Ile czasu tak przebył? Niewiadomo.

On sam nie umiałby sobie zdać z tego sprawy, ale po pewnym czasie ocknął się w skutek niewygodnego posłania i spostrzegł blade światło na schodach.

Światło to napływało przez okienko umieszczone po nad drzwiami mieszkania radzcy.

Cisza panowała głęboka, a wśród niéj jakieś skrobanie muru słyszeć się dało z mieszkania radzcy. Skrobanie to było w bliskości miejsca, o które wsparł się asesor. Po chwili dało się słyszeć jakieś stukanie, jakoby młotka w cegłę..... poczem wszystko ucichło.

Za chwilę powtórzyło się skrobanie muru, a następnie doszedł ucha asesora brzęk jakoby worka z pieniędzmi srebrnemi. Nastąpiło to zapewne przypadkowo.

— Ach! pomyślał asesor, to ten skąpiec pieniądze zamurowywa. W téj stronie..... to kominek! On sknera jedną już nogą w grobie, a pieniądze ukrywa.

I daléj otulając się płaszczem, asesor nadstawia ucha, czyni różne uwagi o swoim sąsiedzie, podsłuchuje z wielkiem zajęciem; i wśród tych uwag i ciekawości, zmienia pozycję na swem twardem posłaniu i..... zasypia.

O ile z początku swego pobytu na schodach, asesor miał interes wyczekiwania Zefira, że aż zdrzemnął znużony, o tyle teraz ten brzęk srebra powołał go do czuwania aż do nowéj drzemki.

Ile czasu przespał na ten drugi bok, również nie umiałby zdać sobie z tego sprawy, ale inna teraz okoliczność zbudziła go ze snu błogiego.

Na trzeciem piętrze od podwórka mieszkał w tym domu krawiec. Dodać tu musimy, że mając on pilną robotę do wykończenia na niedzielę, przynajął sobie czeladnika. Pomocnik ten późno w noc robiąc u krawca, wracał teraz do swego domu. Znał on do-

brze te schody, to też bez światła dość prędko schodził na dół, gdy nagle wpadł na asesora, tak niewłaściwie tam w téj porze śpiącego. Zawada ta spowodała nagłe spadnięcie ze schodów biednego czeladnika. Padł on przez asesora głową na dół, wsparł się na rękach broniąc głowy przez naturalny instynkt zachowawczy, a następnie nie mogąc utrzymać nóg wyżéj głowy, przewinął niemi pewne cugi w powietrzu i padł przed asesorem, uderzając piętami we drzwi pani Janowéj.

Ale nie dosyć jednego upadku. Asesor zawadzony nogami czeladnika krawieckiego, stoczył się na niego ze schodów.

Czeladnik miał twardy punkt oparcia, to też jęknął biedaczysko, asesor stoczył się na ciało swego poprzednika, miał też miękcéj, ale przejęty był rozpaczą, słysząc w chwili odbywanych przez siebie sztuk gimnastycznych, przygrywającą mu gitarę, która zawadzona odgrywała *decrescendo* wśród ciszy nocnéj potrącając się po schodach.

Asesor leżał teraz na czeladniku krawieckim, gitara leżała na uboczu z czapką swego pana, która także podjęła się ruchu na własny rachunek.

— Gitara! gitara! zawołał z rozpaczą aseser wnosząc z donośnego jéj dźwięku o podróży odbywanéj na pierwsze piętro.

— A do kroć set, kto tam na mnie! woła biedny czelanik motając się pod płaszczem asesora.

— Dawaj gitarę!

— A złazisz mi!

Na te krzyki ukazało się światło z 3-go piętra, i czeladnik a także asesor przychodzili do porządku.

— A to człowiek zdrzemnąć się nie może spokojnie, mruczy asesor podnosząc swoją gitarę i czapkę.

— A do kroćset! Co wacpan robisz tak późno na schodach?!

— Ja tu komorne płacę, to mi wolno spać gdzie mi się podoba, a to asan po nocy tłuczesz się po schodach!

— A to mi pretensja! to wacpan kładziesz się po schodach, żeby ludzie karki kręcili.

— To asan patrz kiedy idziesz.

— A czy ja mam kocie oczy?!

— A gdybyś mi też gitarę potłukł?!

— A gdybym ja się zabił?!

— Bo to pan asesor tak zagorzale się kocha, mówi ze śmiechem przyświecający krawiec z trzeciego piętra, pojąwszy co tu zaszło. Ja myślałem, że tylko koty romansując sypiają po schodach.

Asesor uderzył akord w gitarę, a przekonawszy się, że nie uległa zepsuciu, odparł krawcowi.

— Dowiedz się asan, że w Hiszpanji wielcy panowie sypiają z gitarami na schodach, a koty łażą po dachach. Ja tę gitarę przywiozłem tu z Hiszpanji, i nie oddałbym ją za sto kotów..... chciałem powiedzieć tysięcy!

Asesor gniewnie wyjął klucz z kieszeni, otworzył drzwi swego mieszkania, i poszedł na łóżku przepędzić resztę nocy.

W téj chwili zegar wieżowy kościoła po Jezuickiego wydzwaniał godzinę pierwszą po północy.

Czeladnik mruczał jeszcze na asesora, prosił krawca, aby poświecił mu na dół, bo może kto więcéj z tutejszych lokatorów płacących komorne, śpi jeszcze na schodach..... jednakże nikt więcéj w tym domu nie wznawiał hiszpańskich obyczajów.

Asesor zasnął teraz spokojnie i wygodnie w swojem łóżku, a nazajutrz zbudził się w późniejszéj jak zwykle godzinie. Nie było też po co wstawać rano. W domu gdzie stołował się, gospodyni nie kredytowała nikomu ani jednego śniadania. Taki już miała zwyczaj.....

— Wczoraj było gorąco, pomyślał asesor, a dziś zaczyna być zimno; to przypomina mi czasy hiszpańskie.

Jednakże trzeba wstać, ubrać się, a może wypadałoby dowiedzieć się do tego Zefira, czy on tam odszukał którego z dobrych papierków 25-cio rublowych. Ale znów wypadałoby spotkać się może z tym krawcem z trzeciego piętra z którym przemówił się wczoraj o kotów.

— Oj! mówi sam do siebie. Ludzie nie chcą wierzyć moim przygodom romansowym, ale niechby te niedowiarki schodzili wczorajszéj nocy z trzeciego piętra ze schodów. Oj! dla miłości ucierpię ja dosyć w mem życiu, i podobno to jeszcze nie koniec.

Z tą myślą asesor wstał z łóżka, okrył się szlafrokiem, i przystąpił w swéj zadumie do okna.

Było to w porze zimowéj, śnieg spadły ścińięty był mrozem; sanki przesuwały się ulicą, a ruch ranny niedzielny objawiał się na mieście. Mnóstwo ludu pobożnego wchodziło i wychodziło z dwóch świątyń pańskich, naprzeciw których mieszkał asesor.

I on też odmówił poranną modlitwę, i znów myśli wikłały mu się o pannie Katarzynie, o Zefirze, o wczorajszym szampanie i pączu, o swojem obiedzie nie zapłaconym i o Hiszpanji.

Z zadumy téj zbudziło go stukanie do drzwi. Asesor pobiegł je otworzyć myśląc, że to Zefir przybywa, ale był to posłaniec jego, chłopiec krawiecki przynoszący tu szynkę w pęcherzu, tuzin serdelków, kawał salcesonu i wędzonki; kawał sera szwajcarskiego, pare butelek wina, bochenek chleba przyczerstwiałego i kilka takichże bułek, oraz kartkę téj treści:

„Kochany asesorze! Nadspodziewanie wszystkie papierki moje 25-cio rublowe są fałszywe! Studjowałem je noc całą, a dziś od rana wychodzę z domu, aby odszukać miejsca zkąd je dostałem i choć w części uchronić się od straty. Nie mów pan o tem nikomu, abym łatwiéj doszedł swego celu. Wreszcie nie lękaj się asesorze o przyszłość: dobrzy kamraci nie zginą. Trzymaj się mnie, a zobaczysz jak żyć będziemy! Dziś o godzinie 3-ciéj po południu zobaczymy się u pani Janowéj. Do widzenia. Zefir"

„NB. Nastrój asesorze swoją gitarę, aby dobrze odpowiadała na dzisiejszéj naszéj zabawie."

Asesor położył kartkę na stronie, i po wyjściu posłańca, rzekł sam do siebie:

— Na te smutki napijmy się czego dobrego. Oto jest wino, serdelki, salceson, wędzonka, szynka, ser szwajcarski, chleb i bułki. Żyć będzie z czego, i jakoś to pójdzie się daléj. Przy tym Zefirze nie umrze się z głodu.

Tak więc poczciwy asesor począł być burszem.....

* *
*

Pani Janowa była w gniewnem usposobieniu na przygodę nocną asesora.

Czeladnik krawiecki odbywając nogami zwroty nadpowietrzne, uderzył piętami w drzwi jéj mieszkania. Tak wybite w nie swoim czasie półpoście i w sposób tak oryginalny, zbudziło dom cały z uśpienia, a następnie sprzeczka w sieni wyjaśniła co zaszło.

Tak oryginalne przygody mogą szkodzić opinji młodéj panny, jednakże pannie Katarzynie podobało się to zajście.

Powód tego był następujący:

Przeszłéj niedzieli panna Katarzyna była z matką swoją u cioci Piotrowéj, tam poznała pana Atanazego. Ona spostrzegła, że zdołała go zająć..... Czemuż on jednak w obec niéj okazał się tak zimnym?

Ona w dniu wczorajszym poznała Zefira nadskakującego jéj. Ona dni poprzednich widziała więcéj uprzejméj młodzieży..... ale wielka była różnica tamtych od p. Atanazego.

W tym poważnym młodym człowieku malowała się szlachetność, jakiéj nie dojrzała u innéj młodzieży.

Bawi nas humorystyka, radzi jesteśmy widzieć twarz piękną, twarz wesołą; ale humorystyka, piękność, wypogodzone oblicze są rzeczy miłe lecz przemijające, przeciwnie szlachetność odmalowana słowy lub widziana w obliczu, na długo pozostawia w nas wrażenie, bo w obec niéj czujemy się maluczcy, bo chcielibyśmy jéj wyrównać!

Szlachetność w panu Atanazym była ukrytą, jak jego czyn dobry spełniony względem pani Piotrowéj był skrytym. O ile czyn ten był tajemnym, o tyle był szlachetnym i odbijał swe piętno w ruchach pana Atanazego, w jego słowach, i że tak powiemy: w nim samym.

Wspomnieliśmy, jako p. Atanazy od chwili wprowadzenia w czyn swéj dobréj myśli przestał być pedantem, bo już czyn jego skrywany, sprzeciwiał się pedanterji. Daléj nastąpiła zmiana jego usposobień w sposób niezawisły od niego. Zmiana ta dałaby się tylko opisać w analizie psychicznego *ja* pana Atanazego. On był tym samym, ale przystępnym uczuciom estetycznym.

Ten dobry uczynek młodzieńca był szlachetnym będąc ukrytym, gdyby szukaną w tem była chluba, już czyn ten straciłby swą wyższość. To tłomaczy nam uwielbienie, dla piękna, które nawet skryte jest przed nami tajemną zasłoną. Mówimy o kim: „To zacny człowiek!" A cóż on zrobił zacnego? Nie wiemy. Ale niewątpliwie on spełnia dobre uczynki, ale spełnia je skrycie przed światem, a świat umie cenić ten grosz wdowi naszych czasów. Świat więc zowie go zacnym, nie dając téj nazwy innym jawnym członkom towarzystw dobroczynnych, albo innym jawnie i z brzękiem rzucającym garściami złoto dla cierpiącéj ludzkości.

Chcemy więc powiedzieć, że skryta szlachetność pana Atanazego ujęła serce panny Katarzyny, ale umysł jéj zbałamucony był tuzinami francuzkich romansów; ona żądała jakich bohaterskich czynów ze strony tego komu serceby oddała.

Dla tych powodów panna Katarzyna ujęła chętnie sposobność odwiedzenia niby cioci z dwoma swemi wielbicielami, z których jeden zaśpiewałby co przy gitarze, choćby arję: „O! Meduzo!" Ten początek wywiedzie może następstwa.....

Odpowiednio zatem do danego słowa, o godzinie 3-ciéj po południu przybył do pani Janowéj p. Zefir, także i asesor po obiedzie złożonym z czterech potraw: wina, salcesonu, szynki i wędzonki.

Asesor przyniósł pod płaszczem swoją gitarę. Pani Janowa nic nie wspominała o nocnéj jego przygodzie, Zefir udał, że nic o tem nie wie; asesor zaś nie opowiadał tego na dobie, gdyż to była jego przygoda ze sto pierwszą narzeczoną, a jako taka, po upływie dopiero czasu stawała się historją.

Pani Janowa i córka jéj okryły się w salopy, Zefir miał na sobie krótkie futerko, asesor zaś otulił się w płaszcz, ukrywając pod nim gitarę.

Całe towarzystwo wyszło na ulicę.

W téj porze mnóstwo sanek uwijało się po mieście, ruch był świąteczny, wiele osób używało sanny, ale i dla naszych znajomych znalazły się sanki pod królem Zygmuntem.

Towarzystwo wsiadło w te sanki i Zefir przewodzący wszystkiem, kazał jechać na Ś-to Krzyską ulicę.

Sanki zdążały posuwistym kłusem i wymijały się z szybkością właściwą dorożkarzom warszawskim i koniom przywykłym do miejskiéj jazdy.

Na szerokiem podówczas Krakowskiem Przedmieściu, jakieś sanki jadące na przeciw pani Janowéj, zwróciły jéj uwagę. W nich siedziała pani Piotrowa i jéj synek, a także p. Atanazy i jeden z jego siostrzeńców.

Pan Atanazy rad był odwiedzieć panią Janowę, aby zobaczyć pannę Katarzynę: w téj myśli podmówił panią Piotrowę do użycia sanny. Panna Katarzyna poznała ten obrot rzeczy, i gdy odpowiednio do żądań jadących, z jednéj i z drugiéj strony zwolniły bieg przy wymijaniu się, zawołała dość głośno:

— Jedziemy w aleje użyć sanny, może i ciocia tam pojedzie.....

— I my tam pojedziemy! odparł p. Atanazy za panią Piotrową, i po wzajemnych ukłonach, sanki jedne za drugiemi ruszyły ulicą Nowy Świat w aleje.

Sanna była dobra, można więc było użyć przejażdżki. Zefir podmawiał swego woźnicę do prędkiéj jazdy obiecując na piwo; woźnica strony przeciwnéj dla dobréj opinji swoich koni, nie dozwalał się wymijać, ztąd nastąpiły wyścigi bawiące młodzież szkolną jadącą z p. Atanazym, a nawet bawiącą osoby starsze. Asesor wspomniał przy téj sposobności o wyścigach jakie miał w Hiszpanji, ale kawał odrywającego się śniegu od kopyt końskich, zasypał mu twarz, przez co nie dozwolił słów dokończyć i popsuł mu humor.

Zefir bawił się wybornie, bo teraz widział na drugich saniach nieznajomego mu p. Atanazego, który przecież musiał mieć pieniądze przy sobie. Zefir bawiąc się, nie patrzył końca; on bawił się aby czas wesoło przepędzić i aby drudzy przy nim się bawili, żadnych osobistych widoków nie miał na celu, to też zadanie jego zawsze powiodło się. On dziś jadąc sankami wiedział, że asesor nie ma pieniędzy, jemu wszakże wypadało sanki zapłacić, ale nie myślał o skutku, teraz p. Atanazy był skutkiem jego wydatków, to i bawić się można było swobodnie.

— Na Wiejską Kawę pojedziemy! woła Zefir do sanek współzawodniczących, gdy razem od rogatek wracali.

Przedstawienie to zostało przyjęte i sanki jedne i drugie zajechały przed ustronie miłego spędzania chwil przez Warszawian, zwane Wiejską Kawą.

Po wyjściu z sani nastąpiło powitanie obu siostr i przedstawienie osób sobie nieznajomych, jako z jednéj strony p. Atanazego, a z drugiéj p. Zefira i asesora.

— Sanki niech na nas czekają! zawołał Zefir, a wchodząc do sal zabaw szepnął do p. Atanazego.

— Zapłać pan od nas wejście bo nie ma drobnych.

Przy wejściu kładło się na tacę co łaska na muzykę. Datek ten obowiązywał mężczyzn tylko, a w znaczeniu co łaska, stanowił najmniejszą kwotę groszy 10 od mężczyzny. Wejście za biletami w cenie oznaczonéj, w późniejszym dopiero czasie określiła Dolina Szwajcarska.

Wejście na salony Wiejskiéj Kawy, podlegało niejako prawom jak wejście do Saskiego ogrodu. Nikt bez obuwia lub z tłomokami nie byłby tam wpuszczony pomimo opłaty wejścia. Nikt zapewne w tych warunkach nie udawałby się na salony Wiejskiéj Kawy, a przecież nasz poczciwy asesor niosł tam gitarę pod płaszczem.

— Panie łaskawy! zawołał na asesora pilnujący porządku przy wejściu. Tu nie wypada wchodzić z instrumentami: my tu sami mamy swoją muzykę.

— A co komu przeszkadza moja gitara?! odparł asesor.

— Ale to nieporządek..... Wreszcie zostaw pan tu u mnie gitarę.

— Zapewne! żeby mi zginęła. Nie po to wiozłem ją z Hiszpanji. Bądź asan zdrów.

I asesor udał się za swojem towarzystwem na salony, nie bacząc na dąsanie się pilnującego porządku.

Po wejściu na salon zabaw, zajęto miejsce przy stoliku na stronie. Zefir kazał przynieść kawy i ciast, a p. Atanazy począł badać powód noszenia gitary przez asesora. Ztąd wydało się, że panna Katarzyna chciała zabawić się u swéj cioci.

Dotąd panna Katarzyna mówiła sama do siebie: „On jechał do mnie” teraz p. Atanazy pomyślał: „Ona do mnie jechała.”

Ta myśl wzajemna wzruszyła serca młodych ludzi. Ta okoliczność była początkiem ich wzajemnych poczuć miłosnych. Lecz ze strony panny Katarzyny wypadało przeszkodzić wyjściu na jaw swych tajników! ona też rada była wyprowadzić asesora na opowiadanie jakiéj krotochwili. W tym celu powiedziała do niego:

— Przyzna pan asesor, że nie wszędzie dogodnie jest chodzić z gitarą.

— O! pani, odparł asesor. Nie zginie ten co ma gitarę, sam stwierdziłem to na sobie. W Strazburgu przechadzałem się z gitarą nad stromym brzegiem Renu, gdy nagle napadają

mnie trzéj moi rywale, trzéj kochankowie od lat trzech mojéj czwartéj narzeczonéj. Oni postanowili zabić mnie cudzoziemca. Napadają mnie zatem w porze nocnéj, każdy z nich uzbrojony był widłami, a ja gitarą. Odbijam ich razy, cofam się w tył; nagle spadam w bystry Ren ze stromego brzegu. Lecę i lecę..... płaszcz mój, ten sam, który mam na sobie, rozwija się, staje się dla mnie skrzydłami, a przy téj pomocy powoli opuszczam się na wzburzone wody bystrego Renu. Co począć w tak stanowczéj chwili? Oto rzucam moją gitarę na spienione fale i sam staję na gitarze. Instrument dęty utrzymuje mnie na powierzchni wód; rączka gitary jest mi sterem, płaszcz mój w potrzebie zwijany przezemnie lub rozwijany, stanowi żagle, ja sam masztem jestem. Wiatr sprzyjał mi, bo dął w moje plecy, a tym sposobem szczęśliwie dostałem się do przeciwnego brzego rzeki.

— Pan okazałeś wiele odwagi powierzając się tak wątłéj łodzi, wtrącił p. Atanazy.

— Trudno, łaskawy panie! Tonący brzytwy się chwyta, czemuż ja spadając ze stromego brzegu nie miałbym powierzyć się mojéj gitarze.

— Bardzo słusznie! rzekła satyrycznie panna Katarzyna, zwłaszcza zrobiwszy sobie z gitary statek ze sterem, masztem i żaglami. Ale zapewne i brzeg przeciwny był równie stromym, a pan nie miałeś kotwicy, pan zatem byłeś bez nadziei po utracie swéj czwartéj narzeczonéj.

— O! pani, Jam wkrótce potem znalazł moją kotwicę, a nią była piąta moja narzeczona.

— Ile pan miał żon? spytał pan Atanazy asesora.

— Żadnéj panie! Ja dotąd jestem kawalerem.

— A jednakże już słyszę o pięciu narzeczonych.....

— Ja ich sto miałem!.....

— Sto! czy być może?

— Tak panie! sto narzeczonych miałem; a dziś mam sto pierwszą, dodał asesor spoglądając na pannę Katarzynę, ale sto pierwsza nie zawiedzie mnie. Ona położy kres mojemu stanowi kawalerskiemu, lub serce mi wydrze.

Pani Janowa poznając co tu zachodzi, nie mogła wstrzymać się od śmiechu, a także p. Atanazy i reszta towarzystwa podzielali tę wesołość. Orkiestra miejscowa dźwiękiem swym przygłuszała gwar rozmawiających, nie dając dojść słowom do innych stolików otoczonych innemi kółkami osób, równie wesoło bawiących się rozmową, lub też przysłuchujących się muzyce.

Towarzystwo nasze postanowiło wieczór dzisiejszy przepędzić w domu pani Janowéj, i opuściwszy salony Wiejskiej Kawy, udali się wszyscy sankami na nich oczekującemi, na ulicę Ś-to Jańską.

Pani Janowa i córka jéj rade były z powrotu do domu, spotkawszy u drzwi swoich, panią X. z dwiema córkami, które to panie przybyły dziś zabawić się w ich domu, a nie zastawszy nikogo, miały już odchodzić.

Zwiększone teraz towarzystwo złożone z panien i kawalerów, dawało możność wesołéj zabawy na cały wieczór.

I w saméj rzeczy, już fortepianik, już też gitara wyręczały się wzajemnie, albo walcząc ze sobą o głośniejsze, przygrywały kilku parom suwającym się do utrudzenia.

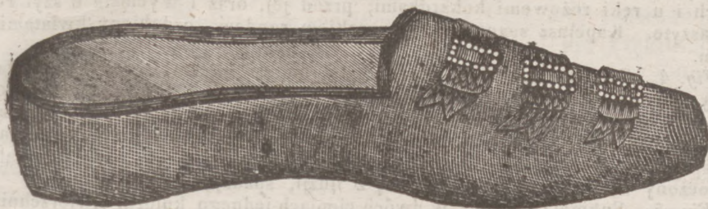
Epoka około r. 184* znaną jest z ochoczéj zabawy, bez wymagań zastaw sztuki gastronomicznéj przez gospodarza domu. Bawiono się ochoczo, tańczono do dnia białego o szklaneczce herbatki i jakiéj zakąsce. Późniejsze zapatrywanie się klasy średniéj towarzystwa na klasę zamożną, zniszczyło tak zwane *tańcujące herbatki*. Chcąc wyrównać możnym, wydatkowało się niekiedy nad stan; a unikając tego, nie przyjmowało się gości. Lecz nie przechodząc w inne lat dziesiątki, widzimy oto wesołą zabawę u pani Janowéj, bo nawet i p. Atanazy ożywił się, asesor zaś nie mogąc wyrównać w tańcu młodszym od siebie, często z wielką taktyką kapitulował, udając się do swéj gitary.

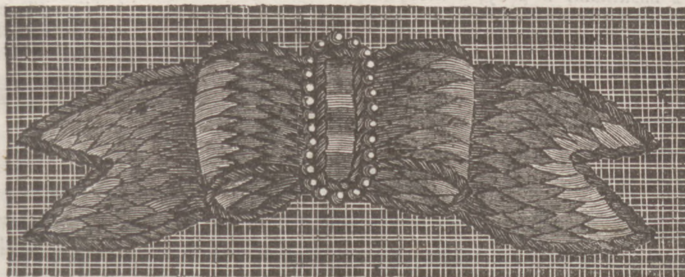
Tańce trwały do późnéj godziny, a wśród nich, dla odpoczynku, bawiono się w gry towarzyskie. Wreszcie wypadało gościom pożegnać panią Janowę. Zefir odprowadził do domu panią X. z córkami, rad zabraniu nowéj znajomości.

Tak więc wśród zabaw i kilku przygód, poczęły się konkury o rękę panny Katarzyny. W dalszym czasie nie było żadnych wypadków oryginalnych, aż do rozwiązania naszéj powieści, dla tego też w osobnym rozdziale je opiszemy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Dodatek do Zeszytu XIX, Kółka Domowego 1867.





Deseń na pantofle.

Ozdobne te pantofelki mogą być zrobione ze sukna repsu lub tym podobnéj trwałéj materji wełnianéj, koloru popielatego. Paski zaś które w liczbie trzech są stopniowéj szerokości, wyrabiają się na kanwie, płaskim ściegiem. Dajemy wzór paska najmniejszego, od palców, takiéj wielkości, jakiéj być powinien. Kontur deseniu daje się z czarnéj włóczki, resztę zrobić włóczką w cieniu pąsowym, a najjaśniejszy kolor jedwabiem. Klamerka, która spina ten rodzaj kokardki, oznacza się perełkami stalowemi. Po zrobieniu, załamuje się kanwa zbywająca i paski do materjału się przyszywają. Jeden taki pasek na tył będzie wystarczający.

Objaśnienie kolorowéj ryciny mód.

Fig. 1. Suknia jasna jedwabna z dwoma spódnicami, z których dolna gładka powłóczysta, zwierzchnia zaś krótsza o 20 centymetrów (9 cali) z przodu otwarta, obszyta zaś w około jaskrawą, lub tegoż samego koloru tylko ciemniejszą aksamitką. U brzegu będąca frędzla jest tegoż koloru co suknia, długie wstążki aksamitne idące od pasa i zakończone trzema kwastami, podpinają ją po dwóch bokach, co tworzy lekkie marszczki. Z przodu ta spódnica zczepiona jest zwężającą się ku górze drabinką, na któréj każdym końcu jest guzik. Stanik pod szyję podobnież ubrany na przodzie. Rękawy obcisłe z epoletami, również obszyte aksamitką jako też i pasek i ubranie na głowę z podobnegoż aksamitu. Kołnierzyk i mankietki koronkowe.

Fig. 2. Gładka niebieska spódnica do ziemi; na niéj suknia czarna jedwabna, nie zszyta z przodu, ale zakładająca się z lewego boku jednym brzegiem na drugi, co się uskutecznia za pomocą ukrytych pod spodem haftek i pętelek, z wierzchu zaś widzimy ubranie z pasmanterji i guzików i cały brzeg górnéj spódnicy obszyty jest czarną aksamitką z wypuszczeniem niebieskiem; w pośrodku niéj naszyte guziki. Stanik stosownie jest wygarnirowany, a chusteczka *Marji Antoniny*, z niebieskiéj materji, téj saméj

co spódnica, dopełnia ubrania. Kapelusik czarny, obszyty w około riuszą z koronki przetykaną kwiatami, z tyłu zwieszają się koronkowe barby.

Fig. 3. Suknia do ziemi w różowe paski z tegoż koloru gorsecikiem, który otaczają zęby, zakończone kwastami tworzące baskinę. Bluzka z białéj alpagi ozdobiona na rękawach i u ręki różowemi kokardkami; przód jéj, oraz i wycięcie u szyi różową materją naszyte. Kapelusz spacerowy z szerokiem rondem, ozdobiony kwiatami i woalem różowym.

Fig. 4. Suknia z gładkiéj alpagi, z dwoma spódnicami wyciętemi w płaskie okrągłe zęby, tegoż koloru atłasem objęte. Z pod nich wychodzi karbowana falbanka z materjału innego koloru lub tego samego, co nawet bardziéj zalecamy. Stanik z *peplum* spięty na guziki, na ramionach i w około wycięty w zęby i wygarnirowany jak suknia. Pasek spięty na rozetę. Gładkie rękawy mają podobneż u ręki ozdoby. Malutki kapelusik otoczony wieńcem kwiatów i szarfą z iluzji, spadającą na ramiona.

Fig. 5. Suknia jedwabna w dwóch cieniach jednego koloru. Zwierzchnia spódnica jaśniejsza, spodnia zaś ciemniejsza, naszyta dwa razy koronką jak równie i stanik bez rękawów z baskinami w zęby, z których po dwa krótsze z przodu i z tyłu, a po dwóch bokach tak przedłużone, że służą do podpięcia jaśniejszéj zwierzchniéj spódnicy. Téj saméj barwy co ta ostatnia są rękawy wychodzące z pod stanika, niby od bluzki pod nim będącéj. Suknia taka o dwóch cieniach jest jedną z najmodniejszych. Ubranie z aksamitu podobnegoż koloru.

O UBIORACH.

Francuzkie dzienniki mód popierają sprawę, którąśmy nie dawno wnieśli w naszem piśmie, że tylko do wielkiéj toalety stosowny jest krój sukni bardzo powłóczysty, suknia zaś *okrągła* czyli do ziemi, dobra jest bardzo na wszystkie mniejsze ubrania, na wsi szczególniéj. Często taką suknię okrągłą podłużają cokolwiek z tyłu, z przodu dając widzieć nogę, lecz wyznajemy, że suknia tak zrobiona, nie estetyczny tworzy rysunek. Naszywań jaskrawych na tle jednostajnem sukni zaniechano zupełnie; dają się wprawdzie dla wystroju pliski odmiennego odcieniu, lecz tego samego koloru, ciemniejsze na jasnem lub przeciwnie. Dżet i wszelkie świecidła stanowczo zaniechane w wystrojeniu sukien i okryć, a natomiast używane jedwabne matowe galony. Okrycia są już dłuższe od zeszłorocznych, wolno puszczone, lecz niezbyt szerokie u obwodu, stosując się w tem do szczupłości dzisiejszych spódnic. Sukien podpinanych coraz mniéj się pokazuje i używa się to tylko w takim razie, kiedy komu koniecznie w sukni powłóczystéj wypada wyjść na ulicę. Gdy dolna spódnica jest odmienna, to najpiękniéj wygląda gdy jednostajnego koloru. Do wielkiéj elegancji należy suknia w dwóch cieniach jednego koloru. Dolna spódnica daje się zwykle ciemniejsza, takiegoż odcieniu ubrania u stanika będącego jednego odcieniu z górną spódnicą. Białych sukien używano w tym roku ze wszystkich materjałów, począwszy od wykwintnych jedwabnych wyrobów, do alpagi, muślinu, piki i dymki. Moda ta przedłuży się zapewne, gdyż jest nader świetną. Cóż piękniejszego jak biała suknia z fularu lub alpagi, na kolorowéj spódnicy fijołkowéj lub błękitnéj? Zwykle wtedy stanik czy paletot ubrane są kolorem spódnicy. Do większego ubrania trudno o coś piękniejszego jak powłóczysta suknia biała tiulowa (na jedwabnéj) z trzema marszczonemi bufkami u dołu; na tem druga tiulowa czarna krótsza z przodu, z tyłu zaś zarówno z białą długa i nieco rozcięta, tak że tworzy dwa długie zęby, które się z lekka na raz związują. Staniczek wycięty, ułożony, z fałdek białego tiulu, rękawy w bufki pokryte szerokiemi czarnemi epoletami, które szelki również czarne tiulowe łączą z takimże gorsecikiem, dochodzącym zaledwie do połowy stanika. Pąsowe

lub inne jasna ubranie na głowę, ładnie dopełnia tego stroju pełnego smaku.

Staniczki czarne tiulowe lub koronkowe używane bywają i do kolorowych sukien. Dobrze wygląda przy fijołkowéj alpagowéj sukni czarny taki stanik, objęty również fijołkowym paskiem z szeroką szarfą jedwabną; jeszcze strojniéj, gdy dopełnia ubrania z pięknéj popielatéj lub błękitnéj materji jedwabnéj. W Paryżu bardzo noszą chusteczki *à la Marie Antoinette* z tego samego co suknia materjału, skrzyżowane na piersiach a z tyłu kończące się szarfą. Chusteczki te czyli mantylki zwykle obszyte koronką, mogą być także czarne lub białe i dla młodych osób są już wystarczającem na ulicę okryciem.

Pończochy, do sukni czarnéj, z czarną podspodnią spódnicą, noszą także czarne. Kolorowe lub z surowego jedwabiu z klinami haftowanemi bardzo są upowszechnione w Paryżu, lecz u nas w Warszawie wcale ich nie widać, dzieciom przeciwnie i u nas kładą pończochy pstre lub pąsowe. Takiegoż koloru paletociki z mięsistego materjału wełnianego, bardzo dobrze ubierają dziewczynki zwłaszcza przy sukniach białych lub jasnych. Sukienki dla dziewczynek robią się z baskinami tak jak dla starszych. Przy téj sposobności wspomnimy tu o sukni przygotowanéj dla osoby dorosłéj, ze stanikiem krojonym z jednéj sztuki z baskinami bardzo długiemi z tyłu, a skracającemi się po bokach w trzy szczeble czyli schody, tak że wyglądały, jakby składające się z pięciu części, z których tylna najdłuższa. Baskina ta nazwana w żargonie paryzkich modniarek piętrową, *à étage* wystrojona była guzikami dużemi i galonem jedwabnym,

Ciągnąc daléj o sukniach dziecinnych donosimy, że robią ich wiele w kształcie gabrjelli to jest z jednéj sztuki ze spódniczką, a jednak gorsowných. Za ubranie służą naszycia z sutaszu lub plisek, czasem guziki spinają suknię od góry do dołu, a z pod niéj wygląda jaskrawego koloru lub biała spódniczka. Suknia w dwóch cieniach i dla dziewczynek do najstrojniejszych należy. Kapelusik marynarski ubiera się zwykle dla nich aksamitką naszyta, w pewnych odstępach kwiatami stokroć i habru lub jaskrów. Dla chłopczyków strój szkocki przerobiony na francuzki sposób, bardzo używany.

Wspomnimy tu jeszcze o włosach, które już tak wysoko na głowie układają, że je widać z frontu. Dziwnie wyglądają kapelusze fanszonikowe, pod nad któremi górują koki z włosów, okrągłe zaś kapelusze tak przez to zostają pochylone na oczy, że cały wdzięk swój tracą i nie wątpimy, że wkrótce wielki przewrot w formie kapeluszy dokonać się musi.

Chcąc coś donieść o paryzkich nowościach, powiemy najprzód o sukni, która zwą starożytną *à l'antique*. Dolna spódnica zupełnie jest bez fałdów, zwierzchnia zaś ma dodane z każdego boku po jednym brycie, z którego się układa kontrafałd podwójny. Przez zwierzchnią część tego fałdu, w połowie jego długości przeciąga się wstążka utwierdzona dwoma końcami u tyłu i u przodu pasa; wstążką zaś tą unosi się fałd, a z nim i całą spódnicę w górę, co tworzy draperję podobną do téj, jaką widzieć można na starożytnych posągach.

Suknia z niebieskiéj popeliny z szerokiemi rękawami *à la juive* zasługuje także na wspomnienie. Rękawy wąskie białéj bluzki dawały sie widzieć z pod tych szerokich rękawów, zdobił je zaś równie jak i suknię haft niebieski w kilku ciemniejszych od materjału odcieniach wykonany naszyciem z sutaszu w palmy.

Chustki czyli mantylki zwane Marji Antoniny, robią się z takiego co suknia materjału, a oszywają koronką, lecz na wieczorową toaletę przygotowują takie krzyżówki bardzo strojne z czarnéj lub białéj koronki w deseń gotycki, kładą je na suknię gorsowną w taki sposób, żeby szyja i część ramion widoczną była, skrzyżowane w pasie końce, związane z tyłu tworzą szarfę powiewną. Suknia powinna być bez żadnych fałdów, powłóczysta, z materji gładkiéj lub w bukiety.

Kapelusze tak się jeszcze noszą letnie, że nie wiele o nich powiedzieć można. Są to powabne mieszaniny aksamitu i krepy nakrapianéj złotem. Wiele także do ozdoby kapeluszów używają gałęzi, korali, mchu zielonego, pszczółek złotych, złoto bowiem bardzo w modzie. U najpierwszych kwiaciarek paryzkich widzieć można złote stokrocie lub jaskry także ze złota, drżące na chwiejnéj łodydze, jakby wiatr niemi poruszał. Prześliczne ubrania na głowę ułożone są ze złotych liści trzciny, lub z jaśminu przeplatanego koralami.

PRZEPISY TOALETOWE.

Proszek mydlany.

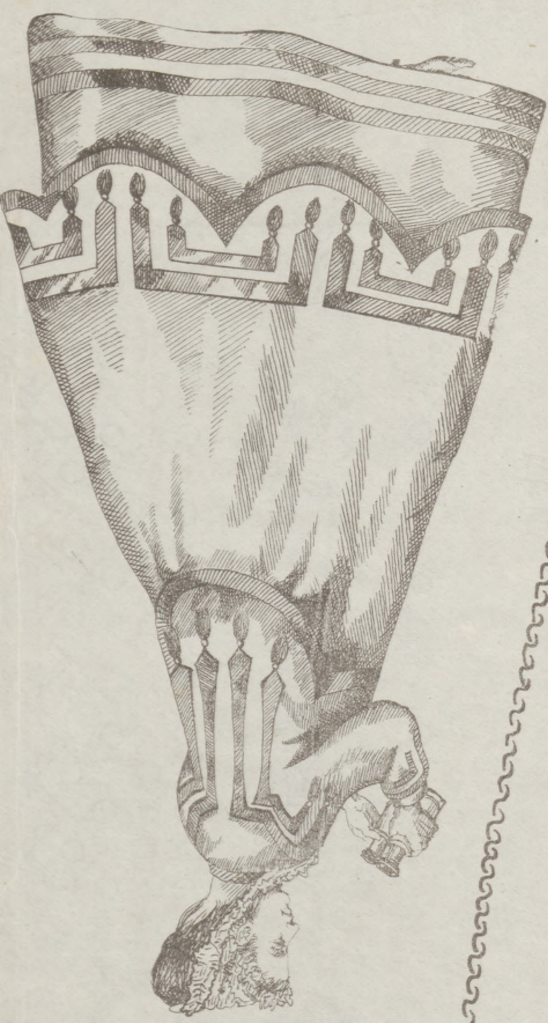
Proszek ten używa się albo do zębów albo do golenia.

Białe mydło pokrajane w cienkie wiórki suszy się długo w miejscu gorącem, potem się miele we młynku i zaprawia jakim pachnącym olejkiem.

Chcąc otrzymać mydła mocno pachnące lepiéj je perfumować na zimno, wlewane bowiem do massy ciepłéj olejki, ulatniają się w 20 częściach na 100. Jest to bardzo łatwy sposób, szczególniéj przy niewielkiéj ilości mydła. Robota czysto mechaniczna; potrzebny jest do tego hebel, moździerz marmurowy i tłuczek z drzewa bukszpanowego. Hebel stawia się na moździerzu w taki sposób, żeby wiórki mydlane z lekka w niego wpadały. Gdy mydło jest zbyt twarde, należy je skropić wodą dystylowaną licząc 120 do 160 gramów wody na kilogram mydła. Skropiwszy czekać 24 godzin, żeby woda wsiąkła. Potem tłuc tłuczkiem przez godzinę lub więcéj, dopóki żadnych grudek nie będzie i mydło stanie się jakby ciastem. Do tego rozbijania mydła można zarówno użyć takiego przyrządu jak maszynki do robienia czekolady, co jest ekonomiczniejsze niż marmurowy moździerz. Po należytem rozbiciu czy roztłuczeniu mydła, dodają się dopiero stopniowo i zwolna olejki pachnące.

Proszek dla nadania zapachu bieliznie.

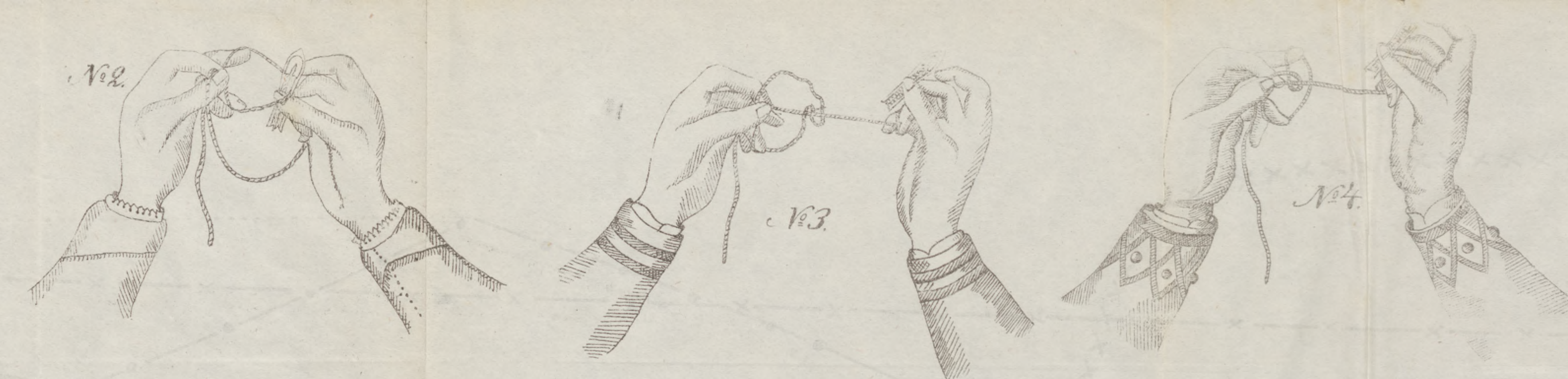
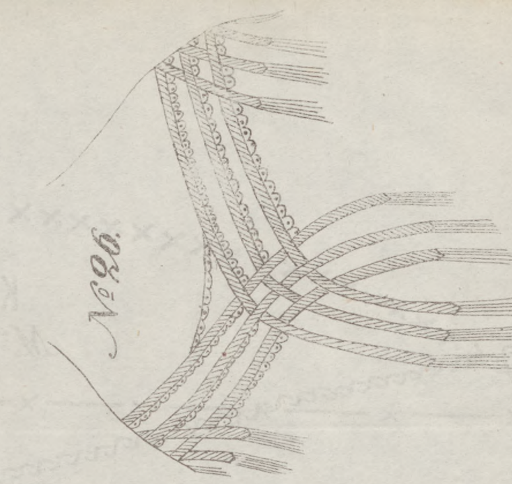
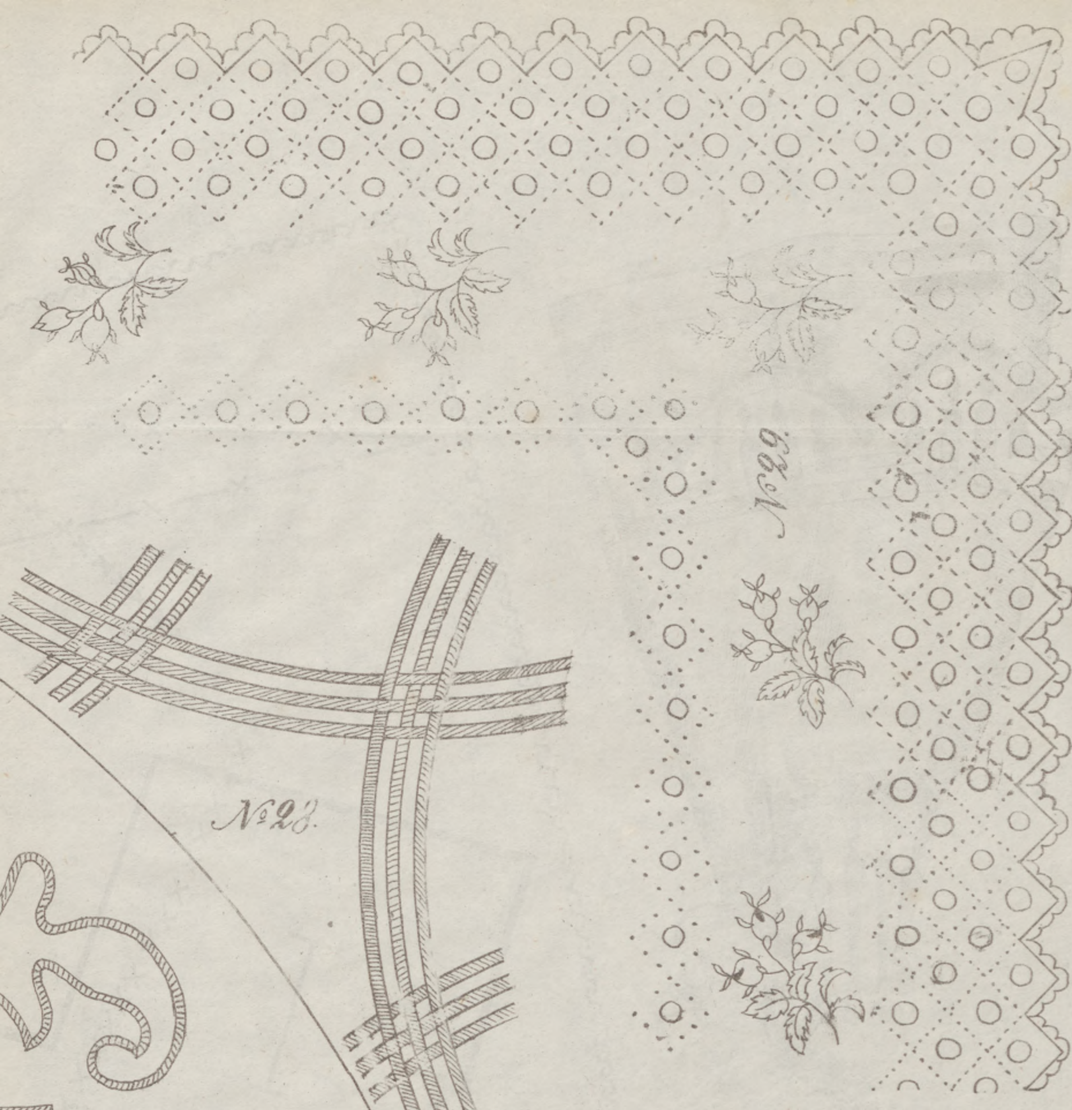
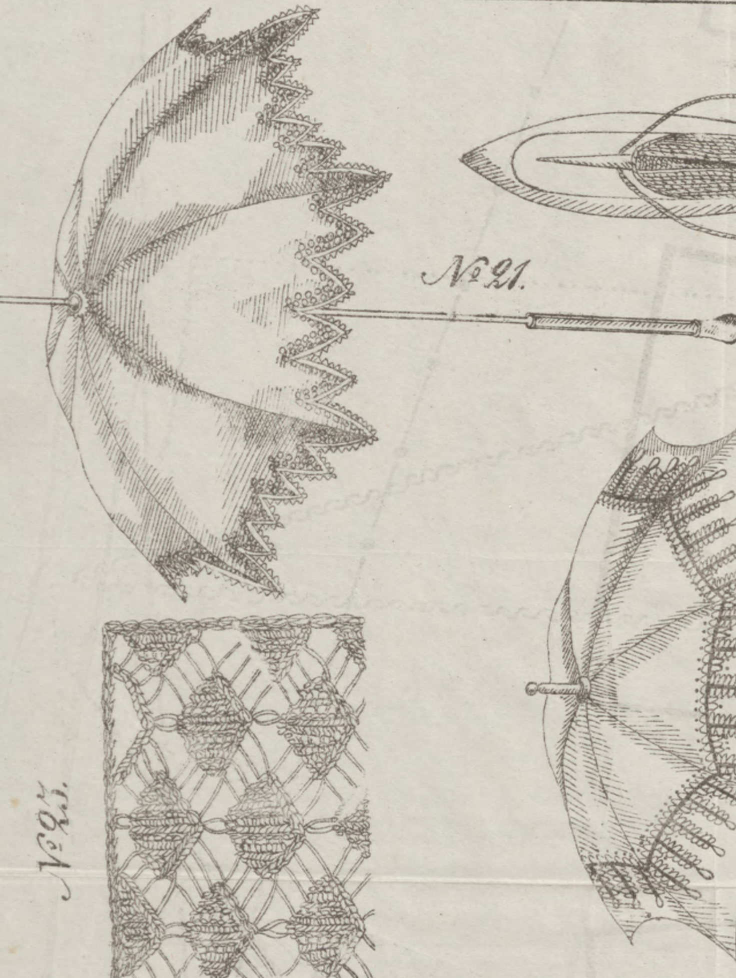
Wziąść pewną ilość proszku bez woni np. *licopodium* i nasypawszy go w duże pudełko zmięszać z liśćmi kwiatu pomarańczowego, jaśminowego lub róży i rezedy, zostawić tak przez 24 godzin wstrząsając czasami, a po upływie tego czasu przesiać i przesypać znowu świeżemi kwiatami, tego samego co poprzednio gatunku; powtarzać to dopóki proszek nie przejmie się dostatecznie żądaną wonią, a wtedy chcąc go dłużéj zachować, wsypać do flakoników szklannych lub też porobić tak zwane *saszety* czyli woreczki atłasowe, w których proszek ten pomiędzy watą jest zaszyty. W miejscach gdzie mają oranżerje, łatwo narobić dużo takiego proszku w czasie kwitnienia pomarańczy, a nie potrzebujemy objaśniać, że prawdziwy jaśmin kwitnie u nas także, tylko w oranżerjach.



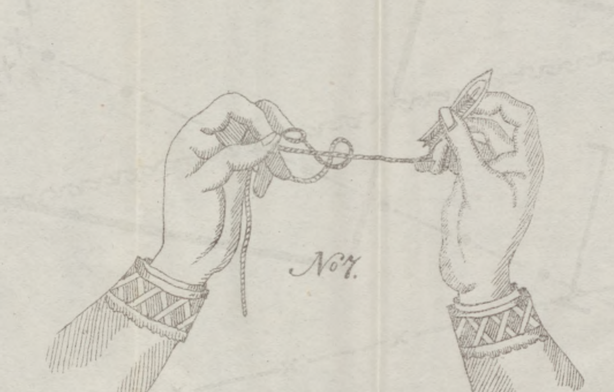
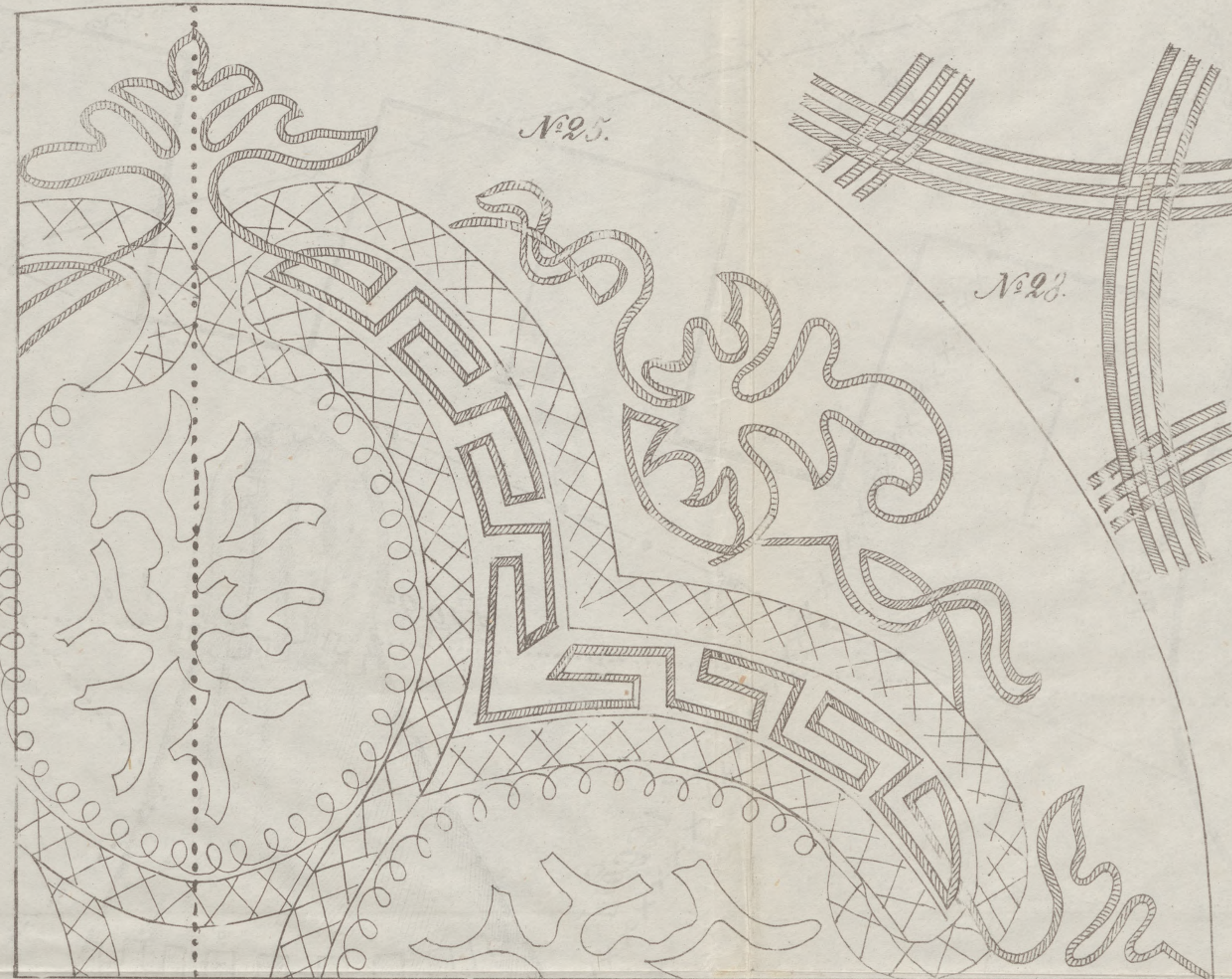
KÓŁKO DOMOWE

Mc Październik.

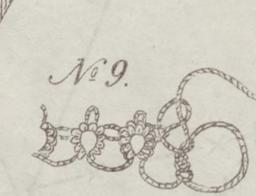
1867 r.

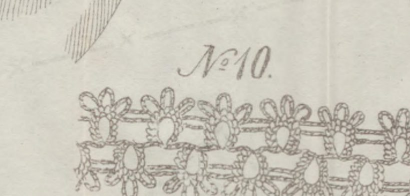








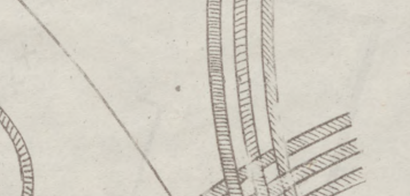







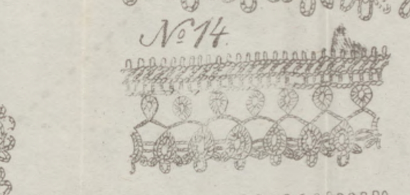
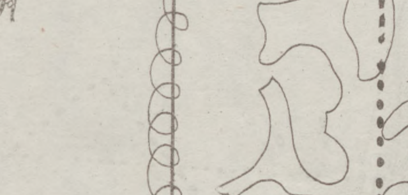


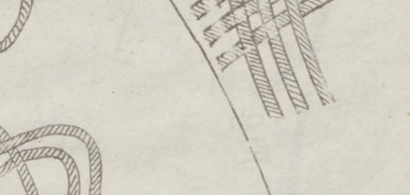


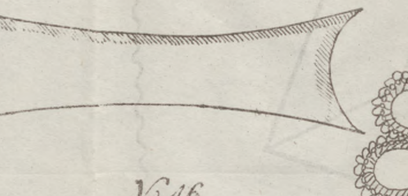




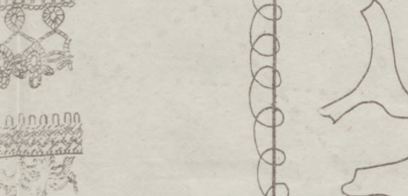


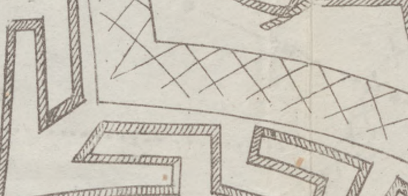




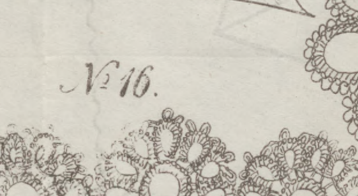




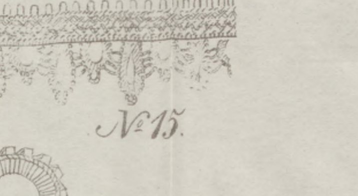
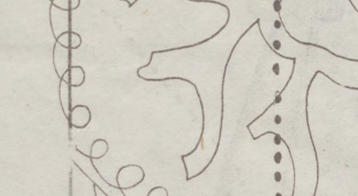


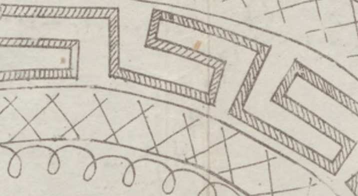


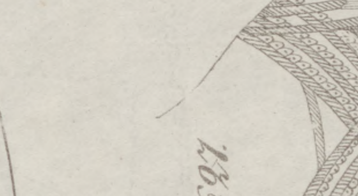


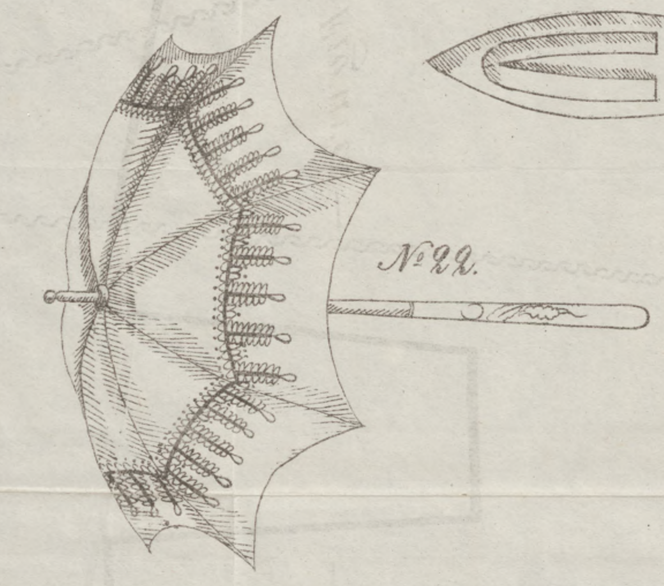








№ 24